

# Zapraszamy do OBYCZAJÓW

Jednocząca się Europa zachęca nas, by poznawać bogactwo i różnorodność składających się na nią kultur, narodów i języków, by odkrywać wciąż na nowo wartość i oryginalność tej różnorodności we współczesnym świecie. Otwarta postawa na ową różnorodność zainspiruje z pewnością owocne kontakty i twórczą wymianę.

*„Czasopismo to jest interesująco redagowane, odpowiada standardom czasopism wydawanych na poziomie europejskim, a poprzez prezentację obyczajów różnych kultur zbliża narody do siebie”*

prof. Dorota Simonides, Senator RP

Pragniemy, aby magazyn międzynarodowy „Obyczaje” był swego rodzaju rozmową Autorów i Czytelników. Mamy nadzieję, że obie strony znajdą w tej rozmowie coś dla siebie, a redakcji uda się je odnaleźć i skojarzyć.

[www.obyczaje.org.pl](http://www.obyczaje.org.pl)

PISZCIE DO REDAKCJI:

Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”  
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin

e-mail: [redakcja@obyczaje.org.pl](mailto:redakcja@obyczaje.org.pl)



## W „Obyczajach” przeczytacie:

**Wydarzenia** ..... wszystko, co ważne i ciekawe, o czym warto i wypada wiedzieć  
**Ludzie** ..... znani bardziej lub mniej - ci, którzy kształtowali kiedyś i ci, którzy kształtują obecnie nasz świat, naszą historię  
**Wędrowki językowe** ..... niekonwencjonalna prezentacja języków europejskich i nie tylko...  
**Między nami** ..... kontakt z odmiennością, jak nas widzą inne narody, kontakty międzynarodowe - relacje międzykulturowe  
**W teatrze życia** ..... teatr w życiu - życie w teatrze  
**Integracja europejska** ..... idziemy do Europy, czy w niej jesteśmy - polskie drogi do Unii Europejskiej  
**Dom** ..... czym jest dzisiaj dla nas, czym był kiedyś, jego rola, znaczenie i kondycja; świętowanie w kulturze  
**Prezentacje** ..... ważne i ciekawe inicjatywy, projekty, zaproszenie do współpracy

NA OKŁADCE:  
fot. Andrzej Polakowski  
czytaj też: s. 5



## MIĘDZY NAMI

## 5... Ludzie z kraju zwanego Gyppe, Renata Hryń-Kuśmierk

Cyganie przybyli do Europy przed kilkuset laty. Wędrowali pośród społeczności, dla których skrawek własnej ziemi i dach nad głową były dobrem najwyższym i których życie upływało na mozolnej pracy. Dlatego ci wieczni wędrowcy bez stałego zajęcia nie mieścili się w ogólnie przyjętych normach. Jak wszystko, co „inne”, budzili niechęć i lęk.



## 10... Po dwóch stronach – Chorwacja, Bośnia i Hercegowina, Wojciech Tymiński

Chorwacja to kraj spotkań. Miejsce, gdzie bezkres błękitnego Adriatyku dotyka stóp Alp. Świat, w którym krzyżuje się słońce z morzem, noc z dniem, a wino z muzyką.

## 14... „Ach Taizé, ta mała wiosna!” – o ekumenicznej Wspólnocie z Taizé, Aneta Nadolna



„Do Taizé przybywa się jak do źródła. Wędrowiec zatrzymuje się, zaspokaja pragnienie i rusza w dalszą drogę.” Jan Paweł II

## 18... Kibuc dawniej i dziś, Katarzyna Hołda

Obecnie w Izraelu jest około 270 kibuców. Żyją w nich 2% ludności kraju. Kibuce znajdują się na terenie całego państwa, w punktach ważnych strategicznie, mogą więc być ośrodkami samoobrony.

## FOTO GALERIA

## 22... Andrzeja Kowalika opowieści z mikroświata

## MĘŻCZYZNA

## 24... Ojciec rodziny, Magdalena Wójtowicz

Dojrzałe ojcostwo jest jedyną szansą na prawidłowy rozwój dzieci: ojciec wdraża je do przestrzegania norm społecznych, tworzy warunki do zaspokojenia ich potrzeby bezpieczeństwa, daje im oparcie i wzmacnia samoocenę.



## 28... Po zamknięciu klasztornej furty... Życie codzienne średniowiecznego mnicha, Marzena Baum

Wybierzmy się w podróż – wyprawę w przeszłość, która pokaże życie niezwykle, biegnące według odmiennych rytmów, obowiązujących niezależnie od wszelkich zmian, dzień po dniu, godzina po godzinie...

## DOM

## 32... Zielone Świątki, Halina Solecka

Jednymi z ciekawszych są obrzędy związane z okresem Zielonych Świąt i wigilią św. Jana. W polskiej tradycji ludowej te ostatnie nazywa się Sabótką, czy Kupałcocką.

## 36... Nigdy, nigdy... nigdzie, czyli o bezdomności emocjonalnej w ponowoczesnej rodzinie, Agnieszka Buczek

Dom to miejsce, do którego się wraca i które się kocha. Jego obraz ma się zawsze przed oczyma, bez względu na odległość dzielącą nas od niego. Nawet jeśli nie istnieje już fizycznie, trwa w naszym przekonaniu, że zawsze mamy do kogo wrócić.

## 38... Studnia, Jadwiga Mizińska

Studnia – to głębia, głębia tajemnicy, z której wszelako można uszczknąć drobną cząstkę, wyciągając wiadrem na powierzchnię życiodajny i ożywczy jej dar. Dar niewyczerpany, bo u spodu bije źródło, serce studni.

# Drodzy Czytelnicy,

Kolejny numer „Obyczajów” trafia do Waszych rąk w czasie szczególnym. Mając w pamięci niedawny fakt przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, postanowiliśmy zebrać tym razem wypowiedzi, których motywem łączącym byłoby szeroko rozumiane pojęcie WSPÓLNOTY.

**NIECHĘĆ I LĘK to nadal typowa reakcja na to, co odmienne i nie mieszczące się w ogólnie przyjętych normach.** O specyfice i historii zróżnicowanych grup cygańskich pisze Renata Hryń-Kuśmierk. Stereotypy i uprzedzenia, z jakimi spotykali się (i spotykają) Romowie, prowokują pytanie o dalsze losy i miejsce ich społeczności w europejskiej wspólnocie.

**O TYM, że stabilność tej wspólnoty nie jest czymś oczywistym i gwarantowanym przypomina reportaż Wojciecha Tymińskiego.** Piękno Chorwacji, Bośni i Hercegowiny kontrastuje z ciągle widocznymi śladami wojennych zniszczeń.

**BUDOWANIE jedności zawsze należy zaczynać od siebie.** Tę prawdę od lat powtarza nieustannie brat Roger – założyciel ekumenicznej Wspólnoty z Taizé. O jego osobie i zgromadzeniu, o spotkaniach młodych oraz o tym, dlaczego warto odwiedzić Taizé, pisze Aneta Nadolna.

**DO ZAPOZNANIA ze zwyczajami innej, średniowiecznej wspólnoty zaprasza z kolei Marzena Baum.** Z jej relacji wynika, że przestrzeganie surowej klasztornej reguły nie czyniło bynajmniej życia zakonnego monotonnym ani ponurym. Ba! ponoć trudno było o ludzi „weselszych, bezpośredniejszych, mniej samotnych niż ci samotni mnisi w swoich celach”.

**SWOJE POWOŁANIE do bycia mężczyzną można realizować za drzwiami klasztornej furty, ale także – i kto wie, czy nie trudniejsze to zadanie – we wspólnocie rodzinnej.** Magdalena Wójtowicz dostrzega możliwość wzmocnienia i odbudowania rodzinnych więzi za sprawą w pełni świadomie przeżywanego ojcostwa.

**DRAMATEM współczesności okazuje się być bowiem samotność zakradająca się do naszych coraz nowocześnie wyposażonych domów.** O bezdomności emocjonalnej w ponowoczesnej rodzinie pisze Agnieszka Buczek.

**JAKŻE odmienną wizję świata ukazuje w swoich wspomnieniach Jadwiga Mizińska.** Sercem przywołanej przez nią wiejskiej społeczności była studnia, przy której chcąc nie chcąc spotykało się codziennie sąsiadów. Nie bez powodu zamykamy nasz numer „Obyczajów” nostalgicznym pytaniem, które zadaje Autorka tego tekstu: „Czy są jeszcze studnie ze stojącym na ich cembrowinie blaszanym gamuszkim, z którego może napić się każdy spragniony podróżny?”

Zapraszamy do lektury i do refleksji.

Redakcja

Czasopismo ukazujące się od 1998 r.

## ZAŁOŻYCIEL I REDAKTOR NACZELNY

Grzegorz Żuk

## SEKRETARZ REDAKCJI

Danuta Kurczab

## CZŁONKOWIE REDAKCJI

Ewa Kownacka

Marta Kubiszyn

Joanna Zętar

## WYDAWCA

Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”

przy współpracy

Stowarzyszenia „Dialog i Współpraca”

## ADRES REDAKCJI I WYDAWCY

ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin

tel. 081 532 58 67

<http://www.obyczaje.org.pl>

e-mail: [redakcja@obyczaje.org.pl](mailto:redakcja@obyczaje.org.pl)

## DYREKTOR OŚRODKA

Tomasz Pietrasiewicz

## SKŁAD KOMPUTEROWY

Marcin Koziol

## DRUK

„baCCarat” Zakład Poligraficzny s.c.

## NAKŁAD

500 egz.

## PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę przyjmuje wydawca.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, a także zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych artykułów i listów.

© Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”



# LUDZIE Z KRAJU ZWANEGO GYPPE

Renata  
Hryń-Kuśmierk

**CYGANIE** przybyli do Europy przed kilkuset laty. Wędrowali pośród społeczności, dla których skrawek własnej ziemi i dach nad głową były dobrem najwyższym i których życie upływało na mozolnej pracy. Dlatego ci wieczni wędrowcy bez stałego zajęcia nie mieścili się w ogólnie przyjętych normach. Jak wszystko, co „inne”, budzili niechęć i lęk. Ukształtował się wówczas negatywny obraz Cygana – brudnego, leniwego, żebrzącego, porywającego dzieci, złodzieja, a nawet kani-bala (w 1929 roku w Pradze odbył się proces dwudziestu Cyganów oskarżonych niesłusznie o zjedzenie kilkunastu osób). Z drugiej jednak strony, Cyganie funkcjonowali jako symbol swobody i niezależności. Na przełomie XIX i XX wieku artyści, buntujący się przeciw mieszczańskiemu porządkowi, z dumą nazywali siebie „cyganerią”.

Obecnie nazwa *Cyganie* pojawia się dość rzadko w publikacjach prasowych czy oficjalnych wystąpieniach. Nie znaczy to wcale, że nagle zniknęli wchłonięci przez narody, wśród których żyli od wieków. W latach osiemdziesiątych XX wieku, słowo *Cyganie* (podobnie, jak jego pochodne np. „cyganiec”) zostało uznane za określenie pejoratywne. W zamian zaczęto stosować nazwę *Romowie*, wykorzystując samookreślenie (*Rom* w liczbie pojedynczej; *Roma* w liczbie mnogiej) używane przez jedną z grup cygańskich (niektórzy przypisują tę nazwę tylko Cyganom wołoskim, tj. tym, którzy przynajmniej przez jakiś czas związani byli z Rumunią). W ten sposób starano się dowartościować Cyganów i pokazać, że dokonuje się istotna zmiana postawy wobec nich. Nie wzięto jednak pod uwagę, że część Cyganów zamieszkujących Europę Zachodnią nazywa siebie *Sinti* (żyją w Austrii, Szwajcarii, Włoszech, Niemczech), *Manusz* (żyją głównie we Francji, ale też w sąsiednich Włoszech, Niemczech oraz w Ameryce Północnej) albo *Kale* (Cyganie z Półwyspu Iberyjskiego).

## WĘDROWCY I KUGLARZE

W anonimowej kronice miasta Paryża z XV wieku czytamy: „W niedzielę 17 sierpnia 1427 r. dwunastu pokutników, jak sami siebie określili, przybyło do Paryża; byli to książę, hrabia i dziesięciu ludzi,

wszyscy na koniach, mówili, że są chrześcijanami i pochodzą z Dolnego Egiptu. Utrzymywali, że i dawniej byli chrześcijanami, a ponownie stali się nimi całkiem niedawno. Wyjaśnili, że napadli na nich Saraceni i wiara ich osłabła pod groźbą śmierci. Nie stawiali silnego oporu, będąc otoczeni wrogami, wyparli się naszego Boga i stali się Saracenami. Na tę wiadomość



foto: Andrzej Polickowski

mość cesarz niemiecki, król polski i inni książęta uderzyli na ich wrogów i wkrótce zwyciężyli. Mieli [Cyganie] nadzieję pozostać w ich krajach, lecz cesarz i jego sprzymierzeńcy zdecydowali, że nie pozwolą na to bez zgody papieża. Wysłano ich do Rzymu, do Ojca Świętego. Poszli wszyscy, wielcy i mali, ci ostatni z wielkim trudem, i wyznali swoje grzechy. Papież rozważył sprawę ze swoją radą i jako pokutę nakazał im wędrować po ziemi siedem lat bez spania w łózkach. Zarządził też, że na ich wydatki każdy biskup czy opat ma dać im jednorazowo dziesięć liwrów z Tours. Następnie wręczył im glejt z tą decyzją dla dostojników Kościoła, dał im swoje błogo-

sławieństwo i poszli w swoją drogę.” [cyt. za: Lech Mróz, *Geneza Cyganów i ich kultury*, Warszawa 1992]

Cyganie, przybysząc do Europy Zachodniej w początkach XV wieku, chętnie rozpowszechniali legendę o swoim pokutnym pielgrzymowaniu. Była doskonałym usprawiedliwieniem ich wędrownego trybu życia. Ponadto, jako pątnicy otaczani byli opieką należną wszystkim pielgrzymom, których

w ówczesnych czasach darzono powszechnym szacunkiem.

Aż do końca XVIII wieku snuto fantastyczne teorie na temat pochodzenia Cyganów. Uważano ich za lud wywodzący się od Saracenów, Żydów, mitycznych mieszkańców Atlantydy, biblijnego Kaina czy wreszcie starożytnych Egipcjan. Ta ostatnia hipoteza znalazła wyraz w nazwach, którymi określano Cyganów, a które były różnymi wariantami słowa *Egipcjanie*, na przykład *Gypsies* (*Egyptians*) w języku angielskim, *Gitans* w języku francuskim, *Gitanos* w języku hiszpańskim, a w języku węgierskim *Farao népek*, czyli Lud Faraona.

Przybysząc do Europy, sami Cyganie głosili

najczęściej, że ich miejscem pochodzenia jest Egipt lub Mały Egipt. Nieco światła na związek z nazwą *Egipcjanie* rzucają relacje podróżników pielgrzymujących do Ziemi Świętej, dotyczące Cyganów żyjących w okolicach miasta Modon, w południowo-zachodniej części Peloponezu. Znajdowało się ono w połowie drogi z Wenecji do Jaffy. W 1483 roku Bernhard von Breydenbach pisał: „na zewnątrz miasta znajduje się wiele ruder, około trzystu, w których zamieszkuje pewien lud ubogi, jak Etiopczycy ciemny i nieruchawy [...] byli oni w Niemczech nazywani Saracenami i fałszywie utrzymywali, że po-

chodzą z Egiptu. W rzeczywistości byli oni mieszkańcami Gyppy koło Modon, i byli szpiegami i zdrajcami”. [cyt. za: Andrzej Mirga, Lech Mróz, *Cyganie. Odmienność i nietolerancja*, Warszawa 1994]

Obok określenia *Egipcjanie*, można znaleźć w kronikarskich zapiskach z tego okresu również nazwę *Cyganie*, która prawdopodobnie wywodzi się z terminu *Adsincani*, którym określano Cyganów na obszarze Cesarstwa Bizantyjskiego, gdzie pojawili się najwcześniej. Prawdopodobnie w niej należy upatrywać źródła późniejszych form tej nazwy, na przykład *Cingene* w języku tureckim, *Zingari* w języku włoskim, *Zigeuner* w języku niemieckim czy *Cyganie* w języku polskim.

Jak piszą Andrzej Mirga i Lech Mróz w książce *„Cyganie. Odmienność i nietolerancja”* (Warszawa 1994 s. 44): „Cyganie w imperium bizantyjskim widziani są, co można dostrzec w źródłach, przede wszystkim jako wróżbici mający dar przepowiedania przyszłości, jako czarodzieje posiadający właściwości magiczne, jako niedźwiedzicy czy treserzy zwierząt i zaklinacze węży. Opisuje się ich również jako kuglarzy, magików i akrobatów.”

Przodkowie Cyganów dotarli do Bizancjum z Indii, prawdopodobnie przez Persję i Armenię. Indie opuścili między V a X wiekiem, prawdopodobnie w kilku falach migracyjnych. Przyczynami mogły być konflikty na tle odmienności kulturowej czy religijnej albo względy ekonomiczne. Być może rozpoczęli swoją tysiącletnią wędrówkę jako ludzie pochodzący z różnych plemion i kast hinduskich. Cyganami, czyli społecznością o określonej kulturze i języku (choć dzielącą się na wiele grup), stali się dopiero na pograniczu Azji i Europy, do której dotarli w XIV w. Na dłużej zatrzymali się na Bałkanach i Wołoszczyźnie, skąd ruszyli do Europy Środkowej i Zachodniej w XV wieku. Obecność Cyganów odnotowano wówczas m. in. w Niemczech, Czechach, Szwajcarii, Francji, Niderlandach. Na początku XVI wieku Cyganie dotarli do Anglii i Szkocji, skąd część wyruszyła później do Skandynawii.

## WŁÓCZĘDZY I ZŁODZIEJE

Początkowo Cyganów przyjmowano życzliwie i gościnnie, ale dość szybko pojawił się strach przed przybyszami, pojawiły się oskarżenia o kradzieże i rozboje, porywanie dzieci, czary i szpiegowanie dla muzułmanów. Te nastroje znalazły wyraz w ustawodawstwie krajów, po których wędrowali. Na przykład, w 1499 r. Izabella i Ferdynand, władcy Hiszpanii, wydali edykt nakazujący Cyganom osiedlenie się i znalezienie stałego zajęcia albo opuszczenie królestwa w ciągu dwóch miesięcy.

„(...) Lud próżnujący, chytry, tajemny, plugawy, dziki czarny, wiary ani postanowienia nie mając, gdzie się przywloką tam wiarę trzymają, aby im dawano. Mowę sobie zmyśliłi ku kradzieży godną, aby ich nikt nie rozumiał, jeno sami siebie. Stąd są misterni złodzieje, zwłaszcza żony ich, z których kradzieży mężowie żyją. (...) Z dziećmi swymi włóczą się od miast do miast, od wsi do wsi, po wszystkich krainach świata, niedługo na miejscu trwając, aby się kradzieżą bardzo jednym nie oprzykrzali. (...)”. Marcin Bielski, *Kronika*, 1564



fol. Andrzej Polakowski

Uchylający się od wykonania królewskiego rozporządzenia mieli być schwytani i ukarani chłostą stu batów a następnie wydaleny z granic państwa hiszpańskiego. Gdyby znów powrócili i ponownie zostali schwytani, wówczas groziło im obcięcie uszu i zakucie w kajdany na sześćdziesiąt dni, po których znowu mieli być odstawieni do granicy. Gdyby mimo to uparcie powracali na hiszpańskie drogi, wówczas stawiali się - zgodnie z prawem - niewolnikami człowieka, który ich schwytał. Od końca XVI wieku władze różnych krajów próbowały pozbyć się Cyganów, deportując ich do swoich zamorskich kolonii, na przykład z Portugalii do Brazylii, a z Wielkiej Brytanii na plantacje Jamajki i Barbadosu.

„Problem cygański” starano się również rozwiązać (na przykład w cesarstwie austriackim) poprzez „ucywilizowanie” Cyganów: zakazano im wędrowania i handlu końmi, posługiwania się własnym językiem, noszenia kolorowych strojów. Regulacje prawne nie ominęły również rodzin cygańskich, których rozbitcie uznano za warunek powodzenia reform. Dlatego odbierano dzieci rodzicom, a dziewczęta i kobiety osadzano w tzw. „domach poprawy”.

Na przełomie XIX i XX w. kolejna fala cygańska rozlała się po Europie. Tym razem z Rumunii (uważanej często za kraj pochodzenia Cyganów) i pogranicza rumuńsko-węgierskiego wyruszyły w drogę grupy cygańskie Kelderasha i Lowara. W Mołdawii i na Wołoszczyźnie byli niewolnikami (od XVI do połowy XIX w.) klasztorów, gospodarów wołoskich i pa-

nującego. Natomiast w krajach, do których przybyli, stali się cygańską elitą.

Do systematycznej eksterminacji Cyganów doszło w nazistowskich Niemczech i podczas II wojny światowej. Na początku 1943 r. hitlerowcy wydzielili w obozie w Brzezince tzw. Zigeunerlager, do którego zwozili Cyganów z całej Europy (ok. 20 tys.). 1 sierpnia 1944 roku zlikwidowano obóz i zagazowano wszystkich wówczas tam zgromadzonych. Według szacunkowych danych (nie obejmują one na przykład ofiar egzekucji wykonywanych w lasach) w czasie II wojny światowej zginęło około pół miliona europejskich Cyganów, czyli prawie połowa ich przedwojennej populacji.

## AKADEMIA NIEDŹWIEDZIA

O Cyganach w Polsce pisały już XV-wieczne źródła historyczne. Pierwsze niewielkie grupy docierały prawdopodobnie do Polski południowej i południowo-wschodniej (przez Węgry i Słowację). Dopiero w XVI wieku przybywa od zachodu duża cygańska fala migracyjna. Marcin Bielski pisał m. in. „O Cyganiach tułaczach” w swojej „Kronice” (1564 r.): „[...] Lud próżnujący, chytry, tajemny, plugawy, dziki czarny, wiary ani postanowienia nie mając, gdzie się przywłoką tam wiarę trzymają, aby im dawano. Mowę sobie zmyślili ku kradzieży godną, aby ich nikt nie rozumiał, jeno sami siebie. Stąd są misterni złodzieje, zwłaszcza żony ich, z których kradzieży mężowie żyją. [...] Z dziećmi swymi włóczą się od miast do miast, od wsi do wsi, po wszystkich krainach świata,

niedługo na miejscu trwając, aby się kra-  
dzieżą bardzo jednym nie oprzykrzali. [...]”.

Polska była wówczas jednym z nie-  
licznych krajów, gdzie nie urządzano  
polowań na Cyganów. Co prawda, Sejm  
Rzeczypospolitej, idąc za przykładem in-  
nych państw europejskich, wydał kilka  
dekretów antycygańskich (pierwszy w ro-  
ku 1557), ale egzekwowanie ich było trud-  
ne (szczególnie na Litwie). Polska szlachta  
i magnateria otaczały Cyganów opieką  
i udzielały im schronienia, ponieważ uwa-  
żano ich za znakomitych kowali, muzy-  
ków oraz treserów zwierząt. Najlepszym  
tego przykładem była pozycja Cyganów  
w litewskich dobrach Radziwiłłów, gdzie  
otrzymali przywilej zajmowania się han-  
dlem i rzemiosłem, osiedlania i kupowania  
domów wraz z działkami, zaś karze „na  
gardle” podlegali jedynie oszuści i zło-  
dzieje. W Radziwiłłowskich Smorgoniach  
działała sławna w całej ówczesnej Europie  
Akademia Niedźwiedzia, czyli szkoła  
tresury. Od wiosny do jesieni Cyganie  
oprowadzali zwierzęta (niedźwiedzie  
i małpy) po targach i jarmarkach nie tylko  
w Rzeczypospolitej, ale i w całej Europie.  
Lata świetności Akademia przeżywała za  
czasów Karola Radziwiłła zwanego „Panie  
Kochanku” (XVIII w.), który wyznaczył na  
jej zwierzchnika mianowanego przez siebie  
króla cygańskiego, Jana Marcinkiewicza.

W XVII wieku królowie polscy - po-  
cząwszy od króla Jana Kazimierza - roz-  
poczęli, trwającą ponad sto lat, tradycję  
mianowania zwierzchników cygańskich.  
Początkowo byli nimi prawdopodobnie  
sami Cyganie, a od 1668 r. nominacje od-  
bierali polscy szlachcice. Zwierzchników  
cygańskich wybierali również właściciele  
tych majątków, w których przebywały  
większe grupy Cyganów.

W okresie rozbiorów Cyganie podlegali  
surowemu ustawodawstwu austriackiemu,

pruskiemu i rosyjskiemu. Po odzyskaniu  
niepodległości w granicach Polski znalazły  
się różne grupy cygańskie: potomkowie  
przybyłych przed wiekami na ziemię  
Rzeczypospolitej (m. in. Polska Roma),  
Kelderasze i Lowarzy z XIX-wiecznej fali  
migracyjnej, a także ci, którzy w wyniku  
nowych podziałów terytorialnych znaleźli  
się w polskich granicach.

## „DZIŚ PRAWDZIWYCH CYGANÓW JUŻ NIE MA”

W latach pięćdziesiątych XX w. roz-  
poczęła się w Polsce akcja osiedlania  
Cyganów i nakłaniania ich do „przejścia  
na tory produktywnego życia osiadłego”  
(Uchwała Nr 452/52 Prezydium Rządu  
z dnia 24 maja 1952 roku podpisana przez  
ówczesnego Prezesa Rady Ministrów Józefa  
Cyrankiewicza).

Kilka lat temu na ulicach naszych więk-  
szych miast pojawili się zebrzący Cyganie.  
Przyjechali do Polski – często nielegalnie  
- głównie z Rumunii, choć jest wśród  
nich również niewielka grupa z Bułgarii.  
Pochodzą z różnych grup, choć najwię-  
cej jest Kelderaszów. Po upadku reżimu  
Nicolae Ceausescu postanowili ruszyć na  
Zachód, wybierając Polskę jako kraj tran-  
zytowy. Ponieważ przejście przez pol-  
sko-niemiecką granicę bez paszportu jest  
prawie niemożliwe, więc koczują na dwor-  
cach albo w skleconych z dytki i szmat  
ziemiankach. Stosunek Cyganów mieszkają-  
cych w Polsce (również Kelderaszów) do  
rumuńskich pobratymców jest dość dwu-  
znaczny. Z jednej strony, są to przecież  
Romowie i jest wielce prawdopodobne,  
że polscy Kelderasze mogą spotkać wśród  
nich krewniaków z tych samych rodów.  
Z drugiej jednak strony, przybysze są zbyt  
widoczni, zbyt natarczywi i wzbudzają  
niechęć Polaków, przez co pozostałym  
Cygantom żyje się trudniej i czasami nie-  
bezpieczniej.

## OBYWATELE ŚWIATA

W wielu krajach europejskich prawo  
dyskryminuje Cyganów, na przykład we  
Francji władze niektórych miast wpro-  
wadziły zakaz obozowania Cyganów nawet  
na dalekich przedmieściach, a w jednym  
ze słowackich miasteczek wprowadzono  
godzinę policyjną dla „Cyganów i innych  
podejrzanych osób”.

Cygany nigdy nie uważano za na-  
ród. Byli traktowani jak ludzie sprawiający  
kłopot swoją odrębnością, która nie paso-  
wała do koncepcji państwa narodowego.  
Urzędowe przejawy niechęci były i często  
nadal są odbiciem poglądów wielu ludzi,  
dla których Cyganie to najbardziej znie-  
widzona grupa etniczna w Europie. Takie  
są wyniki badań prowadzonych w różnych

fot. Andrzej Polakowski



krajach na temat stosunku ich obywateli do cudzoziemców.

Dla samych Romów problem przynależności narodowej i upominania się o związane z nią prawa długo nie istniały. W dawnych państwach socjalistycznych powstawały różne cygańskie stowarzyszenia kulturalno-oświatowe o zasięgu lokalnym, ale ich działalność ograniczała się do tworzenia zespołów taneczno-muzycznych.

Dopiero na początku lat 70-tych powstała pierwsza międzynarodowa organizacja cygańska „Romani Union” (Związek Cyganów). Jej założycielami byli zarówno sami Cyganie, jak i ludzie sympatyzujący z nimi. Wybierane na kolejnych kongresach władze mają ambicje bycia polityczną reprezentacją wszystkich Cyganów, m.in. zwracając się z apelem do państw członkowskich Organizacji Narodów Zjednoczonych o traktowanie ich jako grupy narodowej czy też uzyskując status członka-konsultanta w Radzie Społeczno-Ekonomicznej przy ONZ.

Światowe media zauważyły fakt istnienia Romani Union szczególnie z racji jej II Kongresu, który odbył się w 1978 r. w Genewie. Honorowym prezydentem Kongresu wybrano Yulla Brynnera, nieżyjącego już znanego amerykańskiego aktora, którego matka była Cyganką. Do cygańskiego pochodzenia przyznali się również inni światowej sławy aktorzy: Charlie Chaplin, Bob Hoskins oraz Michael Caine.

W naszym kraju działa, powstałe w 1992 r., Stowarzyszenie Romów w Polsce. Jego pierwszym przewodniczącym był Andrzej Mirga z grupy Cyganów Karpackich, etnograf, wieloletni pracownik Katedry Etnografii Słowian Uniwersytetu Jagiellońskiego. Faktem bardzo znaczącym w historii i obyczajach Cyganów mieszkających w Polsce jest poparcie tej inicjatywy przez Śero Roma, zwierzchnika grupy Polska Roma.

## GRUPY CYGAŃSKIE W POLSCE

Cyganie dzielą się na wiele większych i mniejszych grup, różniących się m.in. dialektami języka cygańskiego zwanego romani, obyczajowością i religią, ukształtowanymi w trakcie wędrówek przez różne terytoria, historią, wreszcie sposobem życia (koczowniczy, półkoczowniczy albo osiadły). W Polsce żyją cztery duże grupy cygańskie: Polska Roma, Bergitka Roma, Kelderasje oraz Lowarzy.

**Polska Roma** jest najliczniejszą grupą o tradycjach koczowniczych. Przybyli do Polski w XVI wieku, przede wszystkim z księstw niemieckich, chroniąc się przed prześladowaniami. Wędrowali po obranych na stałe terytoriach, od których pochodzą nazwy mniejszych grup np.



fol. Andrzej Polakowski

Warmijaki, Galicjaki, Łomżyniaki. Polska Roma dzieli się na grupy rodowe składające się z poszczególnych rodzin. Uznają zwierzchnictwo przywódcy zwanego Baro Szero (Wielka Głowa) albo Szero Rom (Cygany Głowa). Jest on zarazem sędzią i najwyższym autorytetem moralnym, stojącym na straży przestrzegania tradycyjnego prawa zwyczajowego i kodeksu skałań.

**Bergitka Roma** (nazywani też Cyganami Karpackimi albo Bergarami) są potomkami Cyganów, którzy najprawdopodobniej docierali do Polski w kilku falach migracyjnych między XV a XVII w. Zajmowali się głównie kowalstwem i muzykowaniem. Obecnie zamieszkują wioski Beskidu Niskiego, Sądeckiego, Gorców, Podtatrza, Spiszu i Orawy. Nie tworzą jednej dużej grupy i nie są podporządkowani jednej władzy zwierzchniej, choć być może nastąpią już wkrótce jakieś zmiany.

**Kelderasje i Lowarzy** przybywali do Polski z terenów Rumunii i Siedmiogrodu od drugiej połowy XIX w. Nazwy obu grup odnoszą się do wykonywanych profesji: Kelderasje (Kalderari, Kelderari) to kotlarze; Lowarzy (Lovari) to handlarze końmi (choć sami Lowarzy utrzymywali, że ich nazwa pochodzi od pieniędzy, ponieważ w języku serbskim „love” znaczy „pieniądze”). Od początku uważali się za lepszych od Cyganów miejscowych, których uważali za prawie osiadłych. Z drugiej strony wzbudzili zaciekanie np. bogatymi i kolorowymi strojami o kroju węgierskim do tego stopnia, że inni zaczęli nosić podobne. W ten sposób strój uważany obecnie za typowo cygański upowszechnił się w różnych grupach cygańskich dopiero pod koniec XIX w. U Kelderaszów i Lowarów władzą zwierzchnią jest *Kris*. ■

Fotografie Andrzeja Polakowskiego z cyklu „Pożegnanie taboru” wykonane w 1967 roku na Lubelszczyźnie.

**Renata Hryń-Kuśmierk:** etnograf, absolwentka Katedry Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego (obecnie Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UW), prowadziła badania m. in. wśród Cyganów z grupy Chaładyka Roma, autorka książki „Rok polski. Zwyczaje i obrzędy”, publikuje artykuły o tematyce związanej z obyczajowością i kulturą różnych społeczności, uczestniczy w programach telewizyjnych i radiowych.



Wojciech ■  
Tymiński

## PO DWÓCH STRONACH CHORWACJA I BOŚNIA-HERCEGOWINA

**Chorwacja to kraj spotkań. Miejsce, gdzie bezkres błękitnego Adriatyku dotyka stóp Alp. Świat, w którym krzyżuje się słońce z morzem, noc z dniem, a wino z muzyką. Obok sosen i świerków rosną palmy, z nizin wyrastają niespodziewanie skaliste wzniesienia, a winnice przeplatają się z gajami oliwnymi.**

**PRZEZ STULECIA spotykały się tutaj lądowe i morskie potęgi, militarne i gospodarcze mocarstwa. Ale te czasy minęły bezpowrotnie. Rzymskie galerie i żaglowce Argonautów już dawno odplynęły poza widoczną linię horyzontu. Wojska tureckie, węgierskie, weneckie, które nawiedzały tę ziemię, rozplynęły się w gęstej mgłę historii. Dzisiaj spienionymi wodami oceanu rządzą stalowe wieloryby.**

Ogromne, białe promy o dymiących masztach codziennie przemierzają ocean, zrećnie manewrując pośród konstelacji wysp. Łąd opanowały zaś szybkie, ekskluzywne auta i niezwykle hałaśliwe skutery, które bezustannie krążą po ulicach, niczym pszczoły wokół bujnego kwiatu. Nawet wieczorami, kiedy słońce idzie już skąpać się w morzu, by wstać nowym, czystym blaskiem kolejnego dnia, świetliste węże pojazdów suną autostradami w niewiadomym kierunku.

Ale Chorwacja to przede wszystkim kraj miast, miasteczek i niewielkich osad wtopionych w krajobraz, połączonych szosami wijącymi się serpentynami wśród skał, które gdzieniegdzie zawisają nagle nad przepaści. Jedna z takich asfaltowych wstążek wiedzie na samo południe, do miejsca stworzonego jakby jedynie dla odpoczynku i uciechy, gdzie kolory, kształty i zapachy Chorwacji występują z największą intensywnością.

Dubrownik to miejsce z 1001 baśni, podobne do niespotykanej muszli wyrzuczonej przez morskie fale na kamienisty brzeg. Każdy, kto tu przybywa, przekracza kamienny próg świata, w którym spletają się, niczym w rękach zręcznej tkaczki, różnobarwne przedzie kultury zachodnioeuropejskiej, śródziemnomorskiej i słowiańskiej. Tutaj znajdowali schronienie podróżni, zmierzający do Konstantynopola i Ziemi Świętej. Przybywali posłowie z dalekich krain, uczestnicy wypraw krzyżowych, poszukiwacze przygód i ludzie spragnieni niepowtarzalnych wrażeń. Kupcy przywozili najcenniejsze towary na handel, a żeglarze zawijali do portu,

by odpocząć przed walką z bezkresnym oceanem na szlaku wiodącym na Wschód. Ale to było kiedyś...

*Stari Grad* (Stare Miasto) to miejsce zakłete w kamień. Tutaj gorąca białosc ścian przeplata się na każdym kroku z czerwienią dachów, którą nasycy się niebo. Łupkowe kapelusze budynków zwróconych ku morskiej dali szczelnie przykrywają czworoboki ścian. Przez szerokie okna domów wpadają wesołe, roztańczone snopy słonecznego światła, ukazując zabytkowe wnętrza. Promienie odkrywają stare szafy, kredensy, skrzypiące łóżka, porcelanowe zastawy. Jak włócznie dziurawią rozwieszoną na sznurkach bieliznę i nowe kominy, wyrosłe w mroku, wydęte przez wichry nocny.

Wokół zabytkowej części miasta pęcznieje gruby mur, który zamyka ten świat na klucz, niczym strażnik więzienie. Grube na trzy, a nawet sześć metrów ściany zrećnie ukrywają tętno współczesności, bijące poza ich obrębem. Z pobliskiej baszty Minčeta, górującej nad murami od strony północnej, rozciąga się jeden z najpiękniejszych widoków świata.

Dubrownik to królestwo uliczek porysowanych niezliczonymi liniami mijań, dążeń, spotkań. Podwójne, potrójne, niesamowicie płodne, niczym sobowtóry albo lustrzane zjawy wnikają w domy, by rozerwać i oddzielić je od siebie. Wiją się wśród kamienic niczym jadowny wąż, czekający na swoją ofiarę. Choć często małe i wąskie, rozpychają się i przężą mięsły, tak jak główna, a zarazem najsłynniejsza ulica Starego Miasta – *Placa Stradun* – o długości blisko 200 metrów. Niegdyś było to trzęsawisko, oddzielające słowiańską osadę Dubrawę od romańskiej Ragusy. Dzisiaj gwarna tysiącami ust, szurgotem stóp, ulica huczy jak wzburzony ocean. Jedwabista, delikatnie ożyłkowana tkanka kamienia w świetle jaskrawego słońca odbija niczym zwierciadło fasady pobliskich, rzeźbionych światłocieniami budynków. *Cudownie, cudownie, cudownie* – powtarzam na głos, jakbym dopiero uczył się tego słowa. Magia lśniącego

marmuru przyciąga i zniewala. I nie tylko mnie, gdyż ulica przepelniona jest tłumem ludzi, którzy w niezliczonej ilości suną jej korytami. Kolorowy korowód drapieżnym, łapczywym krokiem pochłania kolejne kamienne bezkresy. Tym sposobem dociera do Pałacu Sponza - jednego z najważniejszych zabytków Dubrownika, gdzie duch gotyku i renesansu złączył się w nierozrwalnym uścisku. Jest nam wzbronione oszukiwać i fałszować miary, toteż gdy ja ważę towar, ze mną razem czyni to sam Bóg - głosi napis umieszczony nad centralną lożą arkadowej sieni.

Ale są też tutaj drobne uliczki – kręte, wąskie żyłki, które prowadzą do krainy baśni. Rozgałęzione niczym wiekowe drzewa, rozpadające się na tysiące strużek, gubią przechodniów, którzy próbują zgłębić ich tajemnice. Tego, kto jednak pokona ten swoisty labirynt, ze zrozumieniem i pobłażliwością podejdzie do rozkapryszonych zakrętów i zawijasów drogi, zniesie trud serpentyn piętujących się schodów, czeka nagroda. Odnajdzie miejsca nieznanne, zagubione w czasie, syjące dziecięcy świat wyobraźni. Zdyszany po skalistej wspinaczce nagle słyszę dziwny ćwierkot ptaków, a w powietrzu wyczuwam woń lawendy. Przedemną wyrastają pijane słońcem ogrody. Lekko odsłaniam zieloną pajęczynę pnączy. Muskam kwitnące drzewa migdałowe, pomarańcze, krzewy rozmarynu i mirtu, potykam się o doniczki zasadzone ziołami. Z odległości sześciu kroków dostrzegam lekko uchylone drzwi domostwa, kuszące aromatem kobiecości. A gdyby je tak pchnąć?

Niespodziewanie czarny kot ociera mi się o nogi, mrużąc jednocześnie porozumiewawczo oczy. Mały strażnik nie pozwala naruszyć tajemnic tego świata. W tej sekundzie wokół mnie wyrasta cała armia czworonożnych stworzeń. Jedne rozkładają się na rozpalonym bruku, inne wyciągają wysoko szyję niczym żurawie, by otrzeć pyszczki o słońce. Chyłkiem wymykam się spod ich władzy.

Każdy kto przemierza te bezkresne ulice, ulega magii sklepów, które jak gołębie obsiadły pobrzeża chodników. Światło rozpuszczane w szybach wystawowych przyciąga wszystkich tych, którzy szukają przysmaków najmniej dostępnych w rodzinnych stronach. Osobliwe, nęcące, słabo oświetlone wnętrza pachną głębokim zapachem niespotykanych przedmiotów: nadgryzionych przez czas ksiąg, mosiężnych naczyń, złotych pierścionków, srebrnych bransolet, migotliwych naszyjników. Starzy kupcy o łagodnych, pełnych życzliwości i uwagi twarzach z należyłym szacunkiem prezentują wiekowe towary, zalegające lekko przykurzone półki i półeczki piętujące się od podłogi aż po sam

sufit. A potem troskliwie pakują zakupione przedmioty, posyłając je na nowe, nieznanne lądy. I tak, kolorowe pakunki wpływają ze sklepu przy akompaniamencie ceremonialnych gestów, szeleszczących banknotów i skrzypu drzwi.

Od świtu słońce szczerze wypełnia wszelkie luki, zarasta szpary okiennic, które łapczywie chłoną żar lejący się z nieba. Śmiechy, spojrzenia i potakiwania nabierają tężyzny w letnim cieple. Ale gdy zegar wznoszący się nad placem *Luža* obwieszcza, że jest samo południe, a świat idzie pogodnym trybem naprzód, wybuchy słońca stają się coraz silniejsze, częstsze i celne. Świetliste promienie zaczynają szczytać w szyje, następnie przenoszą się na ramiona, ręce, docierając aż do stóp. I gdy zielone listki drzew zwijają się na brzegach z upału, ataki słonecznego ognia zapędzają znękanych ludzi do cienistych kątów. Tylko co bardziej wytrwali chłdzą się w *Wielkiej Fontannie Onufrego* usytuowanej tuż przy bramie miasta. Owalna budowla, ozdobiona szesnastoma rzeźbionymi maskami, tryska życiodajną wodą - dowodem potęgi i bogactwa Dubrownika. Niektórzy kierują swoje kroki do *Klasztoru Franciszkanów*, gdzie w średniowiecznych krużgankach wciąż słychać szepty mnichów, a z pobliskiego kościoła dochodzi melodyjny śpiew choraków gregoriańskich. I nagle wszystko się uspokaja. Po pergaminie nieba spokojnie suną kuliste, pulchne obłoczki, a białe sklepienie na zmianę to rozsuwa, to naciąga kotary błękitu.

Port. Kiedyś cumowała tu olbrzymia flota, licząca w czasach rozkwitu ponad 200 statków, które odbywały regularne rejsy do Syrii, Egiptu, Hiszpanii, Francji, Turcji i wielu innych krajów. Dzisiaj o morskie fale uderzają burty maleńkich łodzi. Tutaj każdy posiada kawałek pływającej deski.

Tańczące na wodzie orzechowe lupinki, napędzane białymi płótnami, przy większych podmuchach wiatru opuszczają keję, by za chwilę zginąć w labiryncie pobliskich wysp, które wyrastają niespodziewanie na lśniącej tafli morza, jak krecie kopce. Duże i małe, o nieprzebranym bogactwie kształtów, urzekają swoim niecodziennym pięknem.

Niedaleko przystani chłopcy o rozjaśnionych uśmiechem twarzach i opalonych, lśniących ciałach. Z wysokości wybrzeża wskakują do wody pomiędzy ostre głazy pozłocone słońcem i znikają nagle w bezdennych przestworzach morskich, kryjących bajkowe skarby zatopionych królestw. Potem wyskakują na brzeg i niczym ptaki strzepują krople wody zastygłe na skórze, by zaraz ponownie zjednoczyć się z żywiołem.

Na krawędzi nocy slychać szum zamiatanych śmieci, zgrzyt zamykanych zamków. Czerń nocy czekająca w przystani wkracza na teren miasta powoli, jakby z tremą. Ale już po chwili niebo rozblyskuje rzęsiistością tysięcy gwiazd. Sierp księżycy kroi niebo na dwie półkule. Przy jego świetle każdy młodzieniec staje się donżuanem - pięknym, nęcącym, o zwycięskim spojrzeniu, który stroszy szyję w poszukiwaniu wybranki nocnej rozkoszy.

Zakochane pary spotykają się przy fontannach, kruszejących balkonach, na różowych placach, furtkach do zapomnianych ogrodów. A potem znikają w fałdach nocy za aksamitnymi kotarami. I tylko gdzieś tam ciepły wiatr wywiewa z gniazd niezbadanych uliczek, zacisznych alkierzy - sekretne mrugnięcia, delikatne szmery i westchnienia. Tylko ci, których nie spotkało dzisiaj szczęście, stoją samotnie pod kolumną *Orlanda*, wieńczącą wschodnią część *Placy Stradun* i przytulają się do rzeźby średniowiecznego rycerza, której pierwowzorem był opiewany w pieśniach Roland.

Tymczasem *Placa Stradun* płonie światłem dziesiątek latarń i latarenek, które bezwzględnie rozgadniają czerń nocy. Na chodnikach, placach i rynkach, pod stopami przechodniów, zuchwale rozkładają się drewniane stoliki i ławy, mosiężne krzesła, wiklinowe fotele. I gdy mrok wysiewa ostatnie swoje ziarna w zaułkach, a mdlawe cienie ledwo pełzają po ziemi, ludzie zasiadają przy bursztynowym świetle świec, żeby przy lampce wina skosztować morskich specjalów: ryb, małży, raków, jeży morskich, homarów. Obok rozkwita odświętnie przybrany tłum. Bogate, kolorowe kostiumy wyszywane złotem i srebrem, dźwięk szarpanych strun i wydmuchiwanego blaszany tubami powietrza, łopoczące na delikatnym wietrze szachownice chorwackich flag tworzą niesamowite widowisko.

Niedaleko Romeo kłęcz pod balkonem Julii. Jak żak, gdy rzuca książkę, tak kochanek do celu swego pospiesza wesoły: a gdy nadejdzie z kochanką rozstanie, wlecze się smutnie, jak ów żak do szkoły - rozbrzmiewa aksamitny głos aktora.

Podłączam się do tajemniczego koro-wodu. Czas ruszać dalej.

## ZAGINIONA CYWILIZACJA

Granica chorwacko-bośniacka. Wrota czasu. Za szybą autokaru pojawia się inny świat: wyblakły i smutny. Ślady wojny z 1992 roku są aż nadto widoczne. Połamane domy - spalone, opuszczone, bez dachów, okien, części ścian - straszą swoim widokiem. Nietrudno znaleźć tutaj odłamki pocisków, wraki samochodów, skażoną grobami ziemię.

W powietrzu niemalże czuć zapach prochu. Kiedy patrzę na to wszystko, przypomina mi się fragment utworu Miłosza: człowiek idzie ulicą i zatrzymuje się przed domem przepełnionym bombą. Prywatność ludzkich mieszkań, ich rodzinne zapachy, ich ciepło pszczelego plastra, ich meble przechowujące pamięć miłości i nienawiści! A teraz wszystko na wierzchu, dom ukazuje swoją strukturę, nie jest to skała trwająca od wieków: tynk, wapno, cegła, szalowania, a na trzecim piętrze samotna i przydatna chyba tylko dla aniołów biała wanna, z której deszcz wypłucze wspomnienie o tych, co się w niej kiedyś kąpali.

Na zewnątrz hula złowieszczy wiatr. Robi się coraz ciemniej. Reflektory autobusu wybiórczo oświetlają mijane miejsca. Przeraża pustka i bylejałość. Ludzi prawie nie widać. Jak sowy spłoszone zbyt żywym światłem rozwiewają się nagle. Ci, których zauważam, stoją w bezruchu, jakby czekali na karawan, który odwiezie ich na cmentarz. Ciemność kryje postacie odbarwione, zasnute pajęczyną, o przetrąconych kręgosłupach.

Na *kolodvorze* (dworcu) w małej miejscowości próbuję przyjrzeć się bliżej mieszkańcom tego miejsca. Oczy melancholijne, zagubione, wpatrzone w niewiadomą, zamgloną dal. Już wypłakane, zaschłe... pustyne. Twarze wyjedzone przez życie, zakutane w czarne chuściny. Wsiadam z powrotem do pojazdu z mięciutkimi fotelami i klimatyzowanym wnętrzem, które wydawało się w Chorwacji standardem, tutaj - luksusem.

Mostar - miasto położone po obu stronach skalistego koryta rzeki Neretwy. To tutaj toczyły się jedne z najcięższych walk ostatniej wojny, które pochłonęły wiele tysięcy ofiar. Obecnie mieszkają tu Chorwaci, Muzułmanie i Serbowie. Widać życie codzienne jest silniejsze od wzajemnej niechęci. W końcu i tak wszyscy leżą spokojnie obok siebie na pobliskich cmentarzach. *1992, 1992, 1992* - czytam beznamienne cyfry na białawych krzyżach. To też ich jedność.

Samo miasto ma w sobie coś magicznego. Znajoma „wielka płyta” przeplata się z orientalną zabudową. Ludzie rozkręcają drobne i całkiem duże interesy. *Banka* (bank), *pošta* (poczta), *benzinska pumpa* (stacja benzynowa), mjenjačnica (kantor), *ljekarna* (apteka) - szyldy i reklamy zaczynają zdobić fasady budynków. Mostar powoli nabiera sprężystości i rumieńców. Przyswajają dorobek kapitalizmu z coraz większym apetytem.

Obok mnie przebiega chłopiec. W jednej ręce trzyma lizaka, w drugiej - plastikowy karabin. Krajobraz wciąż dźwiga ciężar minionego czasu...

## BEZROBOTNY LUCYFER

Jest jednak jedno takie miejsce w Hercegowinie, w którym czas biegnie zupełnie inaczej - zapęta się, zanika, chowa się w zakamarkach – to Medugorje. Ta mała, nieznana nikomu miejscowość w sercu Gór Karstu żyła niegdyś podobnie, jak i pozostałe wioski na tym terenie: ludzie pracowali na roli, sadzili tytoń i winogrona, uprawiali warzywa, hodowali owce i produkowali wino. Wyrwane żółte kartki kalendara, jak opadające na drogę liście znaczyły przemijające dni. Ale 24 czerwca 1981 roku wydarzyło się to, co spowodowało, że tę spieczoną słońcem ziemię zaczęły znaczyć żywe stopy milionów pielgrzymów. Według świadectwa sześciorga dzieci ukazała im się wtedy Matka Boża nazywaną tutaj Gospą i przekazała swoje orędzie.

Objawienia te trwają ponoć do dzisiejszego dnia. Dlatego też od 23 lat Medugorje jak magnes przyciąga ludzi ze wszystkich zakątków świata. Nikogo nie dziwi to, że o każdej porze dnia i nocy, wokół kościoła i na wzgórzach, mniejsze i większe grupy pielgrzymów przesuwają bezszelestnie paciorki różańca i mruczą coś pod nosem. Ale obok wyznawców religii można spotkać w Medugorje także zwykłych, ciekawskich ludzi, którzy gdzieś niegdzie przemykają, znacząc miejsca swojej obecności fleszem aparatu. Nie wszyscy wierzą... w cuda.

Msza wieczorna to niesamowita mozaika modlących się ludzi. Nogi wbite w ziemię jak słupy utrzymują sylwetki w bezruchu. Na skroniach pojawiają się pulsujące żyły. Rysy twarzy wyrażają głębokie skupienie. W trakcie śpiewów głosy zgromadzonych podnoszą się namiętnie, ręce zaczynają falować - to wyciągają się w górę, jakby chciały coś uchwycić, a to zwijają się jak kwiat w gestach oddania, uwielbienia, pokory. Mieszają się różne języki. Nie znane sobie wyrazy spotykają się niespodziewanie razem, chwytają się siebie nawzajem i tworzą pajęczynę słów o wspólnej nici: la Madonna, Our Lady, Muttergottes, Sfanta Fecioara, Gospa, Matka Boża. Niewidzialne, nieuchwytnie mrowienie przechodzi mi po plecach.

A potem ten półmrok i cicha modlitwa. Nastrajająca monotonia dźwięków - znaczący szept. Rozedrgane światło wypalających się świec ukazuje sylwetki modlących się ludzi. Płomień nierówny, pulsujący, oddychający falami powietrza, dostającego się do wnętrza świątyni razem z kolejną grupą wiernych. To światło otwiera serce, duszę, umysł odbiorcy. Kadzidlany dym tworzy delikatną mgiełkę, zwiewną zasłonę i wszystko się rozplywa, nabierając chęci własnego życia. Człowiek wychodzi stąd odnowiony i silny.

*Brdo Ukazanja* (Góra Objawień). Tak się dzisiaj nazywa wzniesienie Podbrdo we wsi Bijakovići, gdzie podobno wizjonerzy widzieli Maryję. Prowadzi tam stroma, skalista ścieżka, którą z czasem poszerzyły miliony pielgrzymów przychodzących na to miejsce. Ludzie, którzy w większości urodzili się i wychowali na równym asfalcie, często wspinają się boso, a nawet na kolanach po tych ostrych kamieniach, by dotrzeć na miejsce pierwszych objawień, gdzie zawsze obecni są pielgrzymi zatonieni w modlitwie, śpiewający lub trwający w ciszy. Dopiero tutaj, z wysokości i z oddali można poznać piękno tej krainy. Zobaczyć pulsujące życiem pola, winnice i ujmujące prostotą wiejskie chatynki.

Medugorje jednakże obfituje w kontrasty, stoi jak gdyby na granicy dwóch światów. Jednym krańcem niemal dotyka nieba, drugim zaś jest mocno zakorzenione w rzeczywistości. Jak ogród o rozwidlających się ścieżkach Medugorje prowadzi do świata zadumy, ale i nęci uciechami doczesności. Na horyzoncie bezwstydnie i natarczywie pojawiają się wciąż nowe szkielety budynków: fast-foodów, butików, kawiarni, wypożyczalni samochodów, agencji turystycznych.

W ciągu kilku lat wyrosło tu rodzime Las Vegas, którym rządzi wszechobecne euro i równie popularny dolar. Ale jest jeszcze coś - dewocjonalia – talizmany dla mas. Przedmioty te w swej istocie kiczowate, jakby na siłę i wbrew tworzywom zrobione, można kupić praktycznie wszędzie - w każdej ilości, wielkości i cenie, z obowiązkowym wizerunkiem Maryi i napisem *Medugorje*: od książek, figurek, różańców, obrazków, poprzez pierścionki, medalioniki, ramki, świeczki, lusterka, aż do breloczków, a nawet futerałów na zapalniczki. Bezsensowna litania. Kiedy idę ulicą, patrzę z niedowierzaniem na sklepy oblepione tymi świecidełkami, bibelotami i nie mogę zrozumieć, dlaczego to eldorado rzeczy zbędnych, papkowatych, wręcz brzydkich, cieszy się niesłabnącą popularnością kupujących.

Czarne mercedesy i bmw. Gdy już ostatnie ściegi wieczoru wplatają się w noc, schludnie ubrani młodzieńcy w nowo zakupionych autach opuszczają garaże nowo wybudowanych willi. Pozycja obowiązkowo półleżąca. Jedna rączka na kierownicy, druga od klaksonu. Obcas-hamulec-klakson-obcas i tak przez całą drogę do Mostaru odległego o niecałe 25 km, gdzie już rozbrzmiewa głośnie muzyka dyskotekowa i migoczą kolorowe neony. Widać wiara wzbogaca na różne sposoby...

Ostatecznie każdemu jest dane to, w co wierzy. *Sretan put* (szczęśliwej podróży) czytam na jednej z przydrożnych tabliczek. *Sretan put!* ■

Aneta ■  
Nadolna

## „Ach Taizé, ta mała wiosna!” © ekumenicznej Wspólnoty z Taizé

Był rok 1940. Piekło drugiej wojny światowej rozciągnęło się już na całą niemal Europę, gdy Roger Louis Schutz Marshauche zrozumiał, że pojednanie narodów i powrót do jedności Kościoła, zacząć należy od siebie. Postanowił wówczas osiedlić się w małej wiosce Taizé, zachęcony do tego słowami pewnej starszki: „Niech pan tutaj zostanie, jesteśmy tacy samotni”. Czy ktokolwiek mógł wtedy przewidzieć, że po latach dziesiątki tysięcy młodych ludzi ze wszystkich kontynentów przyjeżdżać będą każdego roku, fala za falą, by spotkać się w założonej przez niego wspólnoty?

MINĘŁO ponad sześćdziesiąt lat od owego dnia, kiedy to 25-letni wówczas brat Roger przyrzekł sobie, że postanowienie budowania pokoju obowiązywać go będzie aż do śmierci. Dziś, na początku Trzeciego Tysiąclecia, na całym świecie nazwa Taizé przywodzi na myśl jedność, zaufanie i komunie.

### BRAT ROGER – ZAŁOŻYCIEL WSPÓLNOTY Z TAIZÉ

Roger Louis Schutz Marshauche urodził się 12 maja 1915 roku w szwajcarskiej wiosce Provence jako ostatnie, dziewiąte, dziecko Charlesa Schutza i Amelie Marshauche. Jego ojciec, pomimo że był pastorem niezależnego Kościoła reformowanego, często przebywał na modlitwie także w katolickich świątyniach. Brat Roger wspomina o tym, jakie oburzenie wywołał jego ojciec, gdy zaprowadził do kościoła katolickiego grupę ewangelickiej młodzieży. Postawa ojca pozostawiła trwałe ślady w umyśle i sercu młodego Rogera.

Pytany o to, co miało wpływ na wybór jego drogi życiowej, przeor Taizé często przywołuje postać swej babki. Pochodziła ona ze starego rodu ewangelickiego, ale by dać świadectwo pojednania, zaczęła uczęszczać do kościoła katolickiego. Jej wiara znalazła też wyraz w konkretnej pomocy dla najbardziej potrzebujących. Podczas I wojny światowej pozostała niemal do końca w bombardowanej Francji, aby przyjmować uciekinierów. Te dwie postawy babki – pojednanie z kościołem katolickim oraz podejmowanie ryzyka, by nieść pomoc potrzebującym, odcisnęły niezatarty ślad na osobowości Rogera.

W wieku 25 lat opuszcza on rodzinną Szwajcarię i udaje się do Francji, kraju swej matki. Tam dojrzewa w nim powołanie do założenia wspólnoty, w której poprzez prostotę i dobroć, realizować by można dzieło pojednania. Poszukując miejsca, przybywa do burgundzkiej wioski Taizé. Za pożyczoną sumę pieniędzy zakupuje porzucony i wystawiony na sprzedaż dom wraz z przyległymi zabudowaniami.

Mała wioska Taizé leżała blisko linii demarkacyjnej, która dzieliła Francję na dwie części. Było to dobre miejsce,

by zając się uciekinierami wojennymi. Odtąd do jego domu zaczynają napływać uchodźcy polityczni, głównie Żydzi. Środki materialne, jakimi dysponował wówczas brat Roger, były bardzo skromne, a codzienne pożywienie stanowiła zupa z mąki kukurydzianej tanio kupowanej w pobliskim młynie.

Jesienią 1942 roku o schronisku uciekinierów dowiaduje się Gestapo. Brat Roger, który przebywa wówczas w Szwajcarii, unika w ten sposób aresztowania. Musi tam jednak pozostać aż do 1944 roku. Po dwóch latach powraca do Taizé, ale już nie sam. Dołączyło do niego w tym czasie kilku braci, z którymi rozpoczyna wspólnotowe życie.

### WSPÓLNOTA – PRZYPOWIEŚĆ O KOMUNII

Już od pierwszych lat istnienia wspólnota braci z Taizé powoli stawała się tym, czym jest dzisiaj – znakiem pokoju i pojednania. Realizacja tego powołania znalazła wyraz w trosce o przebywających w po-

Dziś, na początku Trzeciego Tysiąclecia, na całym świecie nazwa Taizé przywodzi na myśl jedność, zaufanie i komunie.

bliskim obozie niemieckich jeńców wojennych, co wywołało niezadowolenie wśród mieszkańców wioski. Opieką otoczono także okoliczne sieroty, których wychowaniem zajęła się najmłodsza siostra brata Rogera – Geneviève.

Od roku 1951 część spośród braci opuszcza wioskę i udaje się do tych miejsc na świecie, gdzie ludzie żyją w opuszczeniu i ubóstwie, aby tam być świadkami pokoju. Małe wspólnoty braci, zwane fraterniami, początkowo tworzone były na terenie Francji. Kolejne powstają m.in. w Bonn, Abidżanie, Bostonie, Genewie, Sheffield, Coventry, Utrechcie, Kolonii, Nowym Jorku, Chicago, Santiago, Bari.



fot. Andrzej Kopalewski

### Brat Roger z dzieckiem afrykańskim.

Wszędzie tam bracia pomagają biednym, pielęgnują chorych, opiekują się uchodźcami i sierotami. Fraternalnie nie są stałymi ośrodkami, a bracia starają się być tam, gdzie są najbardziej potrzebni. Brat Roger tak wspomina swój pobyt na misji w Nowym Jorku: „Dzielnica, w której, żyję nazywa się Hell's Kitchen (kuchnia piekiel) w samym centrum Manhattanu. (...) W dzielnicy nocą są niebezpieczne. Czasami słychać przeraźliwe krzyki, nawet w domu. Pewnego ranka jeden z nas zobaczył na ulicy zamiatacza wydobywającego z pojemnika na śmieci ręce i nogi”. Obecnie bracia mieszkają w najuboższych dzielnicach Azji i Afryki, Ameryki Południowej i Północnej.

Z roku na rok wspólnota stopniowo się powiększa. Początkowo należą do niej bracia pochodzenia ewangelickiego, lecz wkrótce zaczynają przyłączać się także katolicy. Dziś ekumeniczna Wspólnota z Taizé liczy około stu braci wywodzących się z kościoła rzymskokatolickiego oraz różnych kościołów protestanckich i reprezentuje ponad dwadzieścia narodowości.

Wspólnota nie przyjmuje żadnych darowizn, prezentów, ani nawet osobistych spadków. Bracia zarabiają na życie wyłącznie swoją pracą i dzięki niej mogą dzielić się z innymi. Wachlarz ich zajęć jest bardzo szeroki. Bracia pracują naukowo w dziedzinie psychologii, socjologii, teologii ekumenicznej, nagrywają pieśni sakralne, prowadzą drukarnie i wydawnictwo, pracują we własnych pracowniach artystycznych – malarskiej, witrażowej, ceramicznej. Są wśród nich architekci, lekarze, informa-

tycy. Można ich spotkać na placówkach duszpasterskich, ale i w wielkich instytucjach międzynarodowych działających na rzecz pokoju, sprawiedliwości, Trzeciego Świata. Większą różnorodność zajęć i zawodów w ramach jednej wspólnoty trudno jest sobie nawet wyobrazić.

Już przez samo swoje istnienie wspólnota jest znakiem pojednania między podzielonymi chrześcijanami. Wspólnota chciałaby być „przypowieścią o komunii”, miejscem codziennego szukania pojednania. Pojednanie chrześcijan jest sercem powołania Taizé, choć nie jest celem samym w sobie. Nade wszystko chodzi o to, by chrześcijanie byli zaczynem pojednania między ludźmi, zaufania między narodami, pokoju na ziemi.

## MIĘDZYKONTYNENTALNE SPOTKANIA W TAIZÉ

Od początku swego istnienia do wspólnoty z Taizé przybywali goście. W okresie II wojny światowej byli nimi uciekinierzy polityczni, głównie Żydzi, potem jeńcy niemieccy. Po wojnie wioskę odwiedzali ludzie poszukujący ciszy i modlitwy, a wśród nich duchowni protestanccy i katolicy. I choć wtedy nic jeszcze nie zapowiadało przyszłej popularności Wspólnoty, to jednak z roku na rok Taizé przyjmuje coraz większą liczbę gości, głównie młodzieży. Do wioski przyjeżdżają młodzi z Europy Zachodniej, a zwłaszcza Francji, Niemiec i Holandii.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Taizé odwiedzały tak duże rzesze młodych, iż



Młodzi w Taizé.

dom pielgrzyma. Reszta gości znalazła schronienie w namiotach rozstawionych na okolicznym polu. Brat Roger wspomina: „Ponieważ nigdy nie mieliśmy dosyć pieniędzy, zakupiliśmy namioty okazjnie, starocie, wielkie, ale niepraktyczne. Darły się, kiedy dął wiatr, ale to wystarczało, by zapewnić gościom jakieś minimum”. Dziś, po upływie lat, namioty pielgrzymów na trwałe wtopiły się w krajobraz wioski.

W początkach lat sześćdziesiątych powstaje pomysł budowy nowej świątyni, gdyż dotychczasowy romański kościółek jest już zbyt mały, by pomieścić stale zwiększającą się liczbę pielgrzymów. Za pieniądze otrzymane od niemieckiej organizacji Suhnezeichen (znak pokuty) w ciągu półtora roku powstaje nowy, większy kościół.

Uroczyste otwarcie świątyni, której przeor wspólnoty nadał nazwę „Kościoła Pojednania”, nastąpiło 6 sierpnia 1962 roku. Spotkali się wówczas w Taizé po raz pierwszy hierarchowie różnych kościołów chrześcijańskich, m.in. prawosławny metropolita Meliton, katolicy biskupi Martin z Rouen i Lubrum z Autum, anglikańscy biskupi Tomkins i Neill oraz przewodniczący Protestantckiej Federacji Francuskiej – pastor Marc Boergner i biskup Kurt Scharf (przewodniczący ewangelickich kościołów niemieckich).

O stale rosnącej popularności wspólnoty świadczył chociażby fakt, że w nowym obszernym kościele już na Wielkanoc 1963 roku zabrakło miejsca.

W roku 1971 rozebrano fasadę i poszerzono budynek, by mógł pomieścić jak największą liczbę pielgrzymów.

Wspólnota z Taizé już od początku lat sześćdziesiątych utrzymywała kontakty, często w zupełnym ukryciu, z młodymi ludźmi z centralnej i wschodniej części Europy. Liczba młodych z tych krajów stopniowo się powiększała, by urosnąć gwałtownie z chwilą otwarcia granic w 1989 roku.

Dziś twarze ludzi wszystkich ras spotykane w Taizé są świadectwem tego, że dokonało się też znaczne otwarcie w kierunku innych kontynentów. Każdego tygodnia w wiosce gromadzą się młodzi z kilkudziesięciu różnych narodowości jednocześnie: od Meksyku po Japonię, od Zairu po Indie, od Haiti po Afrykę Południową. Do Taizé przyjeżdżają również rodziny z dziećmi. Nie licząc pielgrzymów, którzy codziennie zatrzymują się w wiosce tylko na kilka godzin, letnie spotkania skupiają każdego tygodnia od trzech do sześciu tysięcy młodych.

Tydzień w Taizé to zachęta do tego, by stawać się zaczynem komunii wśród chrześcijan i zaczynem pokoju w świecie zranionym podziałami, samotnością i przemocą.

## PIELGRZYMKA ZAUFANIA PRZEZ ZIEMIĘ

Ekumeniczna Wspólnota z Taizé znana jest międzynarodowej opinii publicznej głównie jako organizator chrześcijańskich spotkań młodzieży. Od roku 1978 roku spotkania te mają miejsce nie tylko w Taizé, lecz również w większych miastach europejskich, gdzie regularnie w okresie świąt Bożego Narodzenia odbywają się Europejskie Spotkania Młodych. Owe celebracje modlitewne w miastach Europy od 1979 roku przybrały nazwę „pielgrzymki zaufania przez ziemię”.

Pierwsze Europejskie Spotkania Młodych odbyło się w Paryżu w 1978 roku i zgromadziło 15 tysięcy młodych chrześcijan. Kolejnymi miastami były: Barcelona (1979 i 1985), Rzym (1980 i 1982), Londyn (1981 i 1986), ponownie Paryż w 1983 i 1988, Kolonia (1984). Upadek „żelaznej kurtyny” pozwolił zorganizować XII Europejskie Spotkanie Młodych we Wrocławiu (189 i ponownie w 1995), a kolejnymi etapami „pielgrzymki zaufania przez ziemię” były: Praga (1990), Budapeszt (1991 i 2001), Wiedeń (1992 i 1997), Monachium (1993), Paryż (1994), Stuttgart (1996), Mediolan (1998), Warszawa (1999), Barcelona (2000), Hamburg (2003).

Kiedy dla mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej skończyły się problemy z podróżowaniem, w spotkaniach

zaczęli dominować pielgrzymi z Polski, Ukrainy, Litwy, Rumunii oraz Węgier. W Wiedniu 1992 zebrało się ponad 100 tysięcy młodzieży, z czego aż 60 tysięcy przybyło z Polski.

Po spotkaniu, które odbyło się w grudniu 2002 w Paryżu, młody Portugalczyk napisał do Taizé: „Byłem zdumiony, że można poczuć ducha Taizé w środku wielkiego miasta..., a może nie jest to duch Taizé, ale Duch Święty, którego czujemy w Taizé, a także w Paryżu, Budapeszcie, Barcelonie i tu, gdzie mieszkam, w codziennym życiu”.

Przed ostatnim spotkaniem europejskim w Hamburgu w 2003 roku zwierzchnicy kościoła katolickiego i protestanckiego oraz władze miasta wyraziły swoją radość: „To dla nas wielka radość, że to wielkie spotkanie odbędzie się w naszym mieście. Pomimo wszystkich różnic młodzi zgromadzą się tutaj, aby cieszyć się swoją wiarą, która jednoczy, ich i nas. Przywiozą ze sobą niecierpliwie pytania o przyszłość bardziej ludzką.

W życiu codziennym starają się podejmować kroki prowadzące do sprawiedliwości i pokoju. Spotkanie europejskie jest znakiem nadziei i dodaje otuchy w rozdartym świecie”.

„Pielgrzymka zaufania przez ziemię”, zainicjowana przed laty przez braci z Taizé, gromadzi dziś setki tysięcy młodych ludzi. Brat Roger pytany o to, w jaki sposób przyciąga do wspólnoty młodzież odpowiada: „Zrozumieliśmy, że młodych należy obdarzyć zaufaniem (...). Wielu młodych może pociągnąć za sobą tych innych, sparaliżowanych strachem przed przyszłością, czy ogarniętych pokusą wyizolowania się z życia tylko dla siebie”. Wszystko to sprawia, że młodzi ludzie świadomi swej wiary, pragną dać jej wyraz w konkretnych działaniach. Animowana przez braci z Taizé „pielgrzymka zaufania przez ziemię” stanowi dla nich zachętę, by podejmować odpowiedzialne zadania w swoich środowiskach: poprzez niesienie pomocy chorym i ubogim, działania w parafiach, udział w życiu społecznym i politycznym.

Papież Jan Paweł II, który odwiedził wspólnotę w Taizé 5 października 1986 roku, podczas wspólnej modlitwy wyjaśnił młodym znaczenie swojej wizyty: „Do Taizé przybywa się jak do źródła. Wędrowiec zatrzymuje się, zaspokaja pragnienie i rusza w dalszą drogę. Wiecie, że bracia nie chcą was zatrzymać. Chcą w modlitwie i ciszy pozwolić wam pić

wodę żywą obiecaną przez Chrystusa, poznać Jego radość, odkryć Jego obecność, odpowiedzieć na Jego wezwanie, byćście mogli potem wyruszyć i świadczyć o Jego miłości, służąc braciom w waszych parafiach, w waszych szkołach, na uniwersytetach i we wszystkich miejscach pracy”.

Taizé jest pierwszą na świecie wspólnotą ekumeniczną. Przejawem tego jest nie tylko wspólnota braci wywodzących się z różnych tradycji chrześcijańskich, ale i rzeczywiste dążenie do urzeczywistnienia widzialnej jedności chrześcijan. Służą temu m.in. organizowane w Taizé od 1966 roku międzynarodowe spotkania ekumeniczne, a od 1978 Europejskie Spotkania Młodych.

I choć bracia uczestniczą w dialogu ekumenicznym także na płaszczyźnie instytucjonalnej, to brat Roger zaznacza: „Nie zamierzamy czynić z ekumenizmu jeszcze jednej ideologii, jeszcze jednego pięknego tematu konferencji i dyskusji, w toku których przez setki lat każdy będzie uzasadniał własne stanowisko w imię własnej

„Do Taizé przybywa się jak do źródła. Wędrowiec zatrzymuje się, zaspokaja pragnienie i rusza w dalszą drogę. Wiecie, że bracia nie chcą was zatrzymać. Chcą w modlitwie i ciszy pozwolić wam pić wodę żywą obiecaną przez Chrystusa, poznać Jego radość, odkryć Jego obecność, odpowiedzieć na Jego wezwanie, byćście mogli potem wyruszyć i świadczyć o Jego miłości”. Jan Paweł II

historii. (...) Dla nas ekumenizm nie jest ideą ani pojęciem, lecz powołaniem”.

Wspólnota z Taizé jest znakiem jedności Kościoła na początku trzeciego Tysiąclecia. Bracia i skupiona wokół nich młodzież nieustannie stają na „liniach demarkacyjnych” dzielących narody i samych chrześcijan. Taizé jest nadzieją na pojednanie między kościołami i między narodami. Taką nadzieję wyrażają słowa papieża Jana Pawła II: „Dzisiaj we wszystkich Kościołach i wspólnotach chrześcijańskich, a nawet wśród najwyższej postawionych polityków świata, wspólnota z Taizé znana jest z zaufania, zawsze pełnego nadziei, którym darzy młodych. Właśnie dlatego, że podzielałam to zaufanie i tę nadzieję, jestem tu tego ranka”.

**Aneta Nadolna**  
jest polonistką, pracuje w Ośrodku „Brama Grodzka - Teatr NN”, wielokrotnie brała udział w spotkaniach młodzieży organizowanych przez Wspólnotę z Taizé.



Katarzyna  
Hołda

# KIBUC DAWNIEJ I DZIŚ

Kibuce to izraelskie gospodarstwa rolne, w których obowiązuje kolektywna produkcja i konsumpcja. W różnych miejscach, okresach i sytuacjach ludzie tworzą komuny, jednak zazwyczaj szybko się one rozpadają, kibuce zaś funkcjonują już prawie 100 lat. Martin Buber twierdził, że kibuc jest jedynym eksperymentem społecznym, który nie poniósł fiaska. Jak wszystkie komuny, bardzo silnie opiera się na ideologii.

## IDEOLOGIA RUCHU KIBUCOWEGO

Ideologia ruchu kibucowego jest połączeniem marksizmu z syjonizmem. Najogólniej rzecz ujmując, chodzi w niej o powrót do Palestyny i zbudowanie państwa żydowskiego - w tym wypadku socjalistycznego czy komunistycznego państwa żydowskiego. Pierwszymi kibucnikami byli studenci z Rosji i z Polski, żyjący na przełomie XIX i XX wieku, którzy stworzyli tę ideę pod wpływem modnej wówczas literatury – dzieł Marksa i Hertzla.

Już na samym początku ruchu kibucowego sformułowano podstawowe zasady funkcjonowania kibucu, które z pewnymi modyfikacjami przetrwały do dziś. Są to:

- wspólna własność i brak własności indywidualnej
- wspólne wychowywanie dzieci
- kolektywna produkcja i kolektywna konsumpcja, realizowane wg zasady „od każdego według możliwości, każdemu według potrzeb”
- szczególna wartość przypisywana pracy, zwłaszcza kult pracy fizycznej na roli
- współpraca z sąsiednimi kibucami
- areligijność

## HISTORIA KIBUCÓW

Pierwszy kibuc Degania powstał w 1909 roku. Założyła go kilkunastoosobowa grupa młodzieży z Polski i Rosji. Degania leży nad jeziorem Genezaret w Galilei. Ten i następne zakładali imigranci z Europy Wschodniej, zwłaszcza z Rosji i z Polski. Aby założyć kibuc, wykupywano ziemię od arabskich właścicieli. Pieniądze na ten cel pochodziły z Żydowskiego Funduszu Narodowego, założonego i zasilanego przez Żydów z diaspory. Kolejne kibuce były zakładane przez przybyszów z kolejnych fal imigracyjnych (aliji). Najwięcej kibuców powstało od początku II wojny światowej do początku lat 50. W chwili powstania państwa Izrael było tam ponad 200 kibuców. Żył w nich ponad 60 tys. osób, czyli 7,8% ludności całego kraju. W latach 70. liczba kibuców kolejny raz gwałtownie się powiększyła, co miało być może związek z rozwojem ruchu hippisowskiego. W kibucach mieszkało wtedy 110 tys. ludzi.

Na początku lat 90. do Izraela zaczęła przybywać kolejna fala imigrantów, tym razem z byłego ZSRR. Część z tych osób także osiedliła się w kibucach.

Początki kibuców były wyjątkowo trudne. Palestyna okazała się krajem bardzo niewdzięcznym - nieurodzajnym, pustynnym, skalistym. Wielkim problemem był brak wody. Pionierzy nie mieli kompletnie żadnego doświadczenia w uprawie ziemi, nawet europejskiej, a co dopiero mówić o palestyńskiej. Nie mieli środków do życia. Musieli pracować gołymi rękami. Mieszkali w namiotach albo w najlepszym razie w barakach. Kiepsko się odżywiali. Wielu pierwszych kibucników umarło z głodu, wyczerpania, od chorób (zwłaszcza na malarię). Zdarzały się samobójstwa. Część rezygnowała i wynosiła się. Od czasu, gdy zaczęły się konflikty z Arabami, którzy zaczęli strzelać do pracujących w polu, kibuce są pilnie strzeżone, zwłaszcza nocą.

Obecnie w Izraelu jest ok. 270 kibuców. Żyje w nich 2% ludności kraju. Kibuce znajdują się na terenie całego państwa, w punktach ważnych strategicznie, mogą więc być ośrodkami samoobrony. Liczą od 100 do 1000 osób.

W ciągu lat liczba kibucników rosła dzięki tym, którzy się w kibucach urodzili i zdecydowali w nich pozostać oraz dzięki osobom z zewnątrz, chociaż w mniejszym stopniu. Ludzie urodzeni w kibucu podejmują decyzję o zostaniu w nim zazwyczaj po powrocie z wojska. W pierwszych dziesięcioleciach zostawało 90%, obecnie 50%. Po wojsku przysługuje jednoroczny urlop z kibucu, przez ten czas młoda osoba może podróżować, pracować w mieście itd., aby zorientować się mniej więcej, czego chce.

Osoby z zewnątrz, chcące mieszkać w kibucu, przyjmuje się na okres próbny od 1 do 2 lat. Po tym czasie wszyscy członkowie kibucu decydują w głosowaniu, czy przyznać kandydatowi członkostwo. Zresztą o członkostwie osób urodzonych w danym kibucu i chcących w nim pozostać także decyduje ogólne zgromadzenie wszystkich członków. Członkostwa nie na-

bywa się bynajmniej automatycznie z urodzenia czy przez małżeństwo. Członkiem kibucu może być tylko człowiek dorosły, niekoniecznie Żyd - zdarzają się małżeństwa kibucników z cudzoziemcami.

Każdy ma prawo opuścić kibuc i teoretycznie nikt nie może go zatrzymać. Oprócz członków i ich rodzin w kibucach przebywa tymczasowo pewna liczba osób. Są to osoby odbywające zastępczą służbę wojskową oraz wolontariusze - młodzi ludzie z zagranicy, pracujący w kibucu.

Różna jest sytuacja kibuców, generalnie jednak są zamożne, panuje w nich wysoki standard życia. Aby określić wygląd kibucu, należałoby powiedzieć, że wygląda on jak ośrodek wypoczynkowy - ładne, proste i funkcjonalne budynki skupione wśród wypielęgnowanej zieleni.

W centrum kibucu stoi jadalnia z kuchnią i zapleczem. Zwykle jest to jednopiętrowy budynek. W jadalni je się wspólne posiłki, celebryje święta i uroczystości, jak wesela, odbywają się tam zebrania członków kibucu. Na parterze jadalni mieści się poczta. Tam też znajdują się skrzynki na listy wszystkich kibucników. Skrzynki te nie są zamykane na klucz. Na parterze jadalni wiszą wszelkiego rodzaju tablice ogłoszeń. W tym samym budynku znajdują się też zwykle pomieszczenia klubowe.

W kibucu znajduje się dom kultury z biblioteką, czytelnia, salami wystawowymi i salą widowiskową, gdzie daje się przedstawienia i wyświetla filmy. Niektóre kibuce mają pracownie plastyczne i techniczne. W kibucach są też budynki sportowe, baseny, boiska, puby, placówki usługowe - np. pralnia, fryzjer, a nawet muzea.

## ORGANIZACJA ŻYCIA

Życie w kibucu przebiega według precyzyjnego planu - są godziny pracy, godziny jedzenia, godziny wspólnych rozrywek itd. Dzień zaczyna się między 4 a 6 rano. Dzieci idą do szkoły albo do przedszkola, dorośli do pracy. W czasie przerw śniadaniowej i obiadowej je się wspólne posiłki w jadalni. Czas po pracy oczywiście każdy spędza, jak chce, jednak kibucnicy chętnie także i po pracy przebywają razem - na przykład w klubie. Jest to czas wolny w pełnym znaczeniu tego słowa - kibucnicy bowiem są odciążeni od większości obowiązków domowych - nie muszą gotować, nie muszą pracować, nie muszą odrabiać lekcji z dziećmi - w zasadzie zostaje im tylko sprzątanie.

## PRACA

Praca jest najwyższą wartością w ideologii kibucowej. Na początku była to praca na roli, w latach powojennych, zwłaszcza od lat 70. kibuce zaczęły zajmować się też produkcją przemysłową



fol. archiwum Autorki

### Wolontariuszki przy pracy.

i usługami. Trzeba przyznać, że są one bardzo wydajne i pomysłowe, jeśli chodzi o organizację pracy, wdrażanie nowych technologii, a także w zapełnianiu tzw. luk na rynku. Obecnie kibuce zajmują się na przykład hodowlą owoców, bawełny, ryb, krów, niektóre produkują wegetariańskie mięso z soi, inne buty czy sprzęt szpitalny. Kibuc Ein Gedi nad Morzem Martwym opracował całą paletę sposobów, na jakie czerpie zyski ze swego położenia. Obsługuje turystów, przybywających nad Morze Martwe, produkuje kosmetyki z minerałów z Morza Martwego itd. W innych ośrodkach można po opłaceniu stawki pożycz przez kilka dni jak kibucnik - wstaje się o świcie z innymi, idzie do pracy.

Kibuce należą do światowej czołówki w rolnictwie. Niektóre prowadzą praktyki dla studentów rolnictwa, nie tylko z Izraela. Specjaliści z kibuców zajmują się rolnictwem także naukowo, szkolą innych, jeżdżą na kongresy itd.

Obecnie kibuce w skali Izraela prowadzą 40% produkcji rolnej, 8% produkcji przemysłowej i 10% produkcji na eksport. Część kibucników pracuje na rzecz wspólnoty - w kuchni, w pralni, przy uprawie ogrodu. Praca teoretycznie trwa 8 godzin dziennie, w praktyce różnie bywa - często się przedłuża. Każdemu przysługują 2 dni wolnego w miesiącu, jeśli chce się mieć ich więcej, należy je „odrobić”, na przykład zostając po godzinach lub biorąc więcej dyżurów.

Oczywiście nie trzeba wykorzystywać wolnych dni na bieżąco, zazwyczaj się je kumuluje i wyjeżdża na urlop z kibucu. Bogatsze kibuce finansują podróże swoich mieszkańców, np. wykupują im bilety lotnicze. Niektóre kibuce mają mieszkania w Tel Aviwie czy Jerozolimie, gdzie także można spędzić urlop.

Nie wszystkie kibuce prosperują równie dobrze. Przede wszystkim zależy to od samodyscypliny i motywacji miesz-

kańców. W niektórych miejscach kibucnicy przekraczają na przykład limit dni wolnych, albo skracają sobie dzień pracy. W konsekwencji mają porcjowane przydziały jedzenia i mniej inwestycji.

Niektóre kibuce postanowiły realizować dosłownie zasadę „od każdego według możliwości, każdemu według potrzeb”. W takich kibucach każdy pracuje, ile chce, i bierze ze wspólnej kasy także, ile chce, przez nikogo niekontrolowany - o ile mi wiadomo, takie kibuce nie wychodzą jednak na tym najlepiej.

## DZIECI I EDUKACJA

Za wartość równie wielką, jak pracę, kibuce uznają swoje dzieci. W każdym kibucu stanowią one ok. 1/3 populacji. Jednym z założeń ideologii kibucowej jest ich wspólne wychowywanie. W pierwszych dziesięcioleciach kibuców rodzice byli odsunięci od spraw wychowawczych - uważano, że dzieci ma wychowywać wspólnota dla wspólnoty.

Obecnie mieszkają razem z rodzicami, a tylko w ciągu dnia przebywają w placówkach wychowawczych. Rodzice mają coraz większy wpływ na takie rzeczy, jak rozrywki, zabawki, ubrania dzieci. Młodzież od 13 roku życia zazwyczaj nadal śpi z rówieśnikami w domach młodzieży - po prostu dlatego, że tak woli. Przez pierwszych kilkanaście tygodni dziecko cały czas jest przy matce. Dzieci do pierwszego roku życia przebywają w domu dla niemowląt pod opieką pielęgniarek.

Do 3-go roku życia dzieci spędzają czas w domach małych dzieci, gdzie podzielone są na grupki 3-6 osobowe. Cztero- i sześciolletnie dzieci chodzą do przedszkola, przed pójściem do szkoły przez rok uczą się w klasach przygotowawczych. Dzieci do 12 roku życia chodzą do szkoły podstawowej. Wszystkie te instytucje znajdują się w każdym kibucu. Z zasady każda klasa szkolna ma swój własny budynek z pomieszczeniami do nauki, świetlicę, bibliotekę, czytelnię, kuchnię, warsztaty, pracownię plastyczne i techniczne. Z reguły w każdym kibucu jest małe gospodarstwo albo zoo, obsługiwane przez dzieci.

Coraz więcej młodzieży z kibuców wybiera się na studia. Kiedyś o wyborze kierunku decydowała rada kibucu, a wyboru dokonywano pod kątem potrzeb kibucu. Wysyłano więc ludzi na medycynę, informatykę, na kierunki rolnicze. Dzisiaj młodzi raczej studiują to, co chcą - chyba, że ktoś nie wie, czego chce i kibuc musi decydować za niego.

Generalnie wychowanie w kibucu jest ukierunkowane na uspołecznianie dzieci. Nazywa się je nawet „córkami i synami kibucu”. Mają w szkole samorząd, który

funkcjonuje podobnie jak rzeczywisty.

Dzieci wtajemniczane są w sprawy kibucu i od 10 roku życia pracują na jego rzecz, początkowo kilka godzin tygodniowo, z czasem coraz więcej. Praktycznie od urodzenia dzieci prawie cały czas przebywają wśród rówieśników w koedukacyjnych grupach, wychowują się jak rodzeństwo i tym tłumaczy się fakt, że raczej nie dochodzi do małżeństw między młodymi ludźmi z tego samego kibucu.

System edukacji w kibucach przynosi dobre efekty - kibucnicy dobrze pracują, sprawdzają się w wojsku i na studiach. Mają prospołeczne nastawienie. Wielu wychowanków kibuców w dorosłym życiu skutecznie zajmuje się nauką, sztuką, polityką, niektórzy robią karierę w wojsku.

Kibucowy system wychowawczy sprzyja wielodzietności - rodzice nie muszą martwić się o utrzymanie dzieci, są zwolnieni z wielu obowiązków rodzicielskich - jak karmienie, pranie, zapewnianie wykształcenia itd. - wszystkie te rzeczy robi za nich system, rodzice mogą spokojnie zająć się przyjemnymi stronami rodzicielstwa. Dlatego w kibucach często spotyka się rodziny z czworgiem, pięciorgiem dzieci.

W kibucach dba się także o starych ludzi. Mają indywidualną pomoc i opiekę, nieraz mieszkają w ośrodkach dla starszych, gdzie każdy ma swój pokój z łazienką, odpowiednio przystosowany. W miarę potrzeby przyrządza się im indywidualne posiłki według wskazań lekarskich. Starsze osoby pracują mniej godzin dziennie, najstarsi są zwolnieni z obowiązku pracy - jednak często i tak pracują, bo na przykład chcą się przysłużyć kibucowi, nie chce im się siedzieć w domu albo lubią swoich kolegów z pracy.

## SYSTEM SAMORZĄDOWY

Kibuc jest demokracją bezpośrednią. Jest rządzony przez demokratyczne zgromadzenie, odrzuca jakiegokolwiek przywództwo indywidualne czy grupowe. Najwyższą władzą jest ogólne zgromadzenie członków, zbiera się ono co miesiąc albo częściej. Decyduje o podziale pieniędzy, o kierunkach rozwoju, o tym, kogo gdzie wysłać na studia, o przyznaniu członkostwa, o życiu religijnym i o innych sprawach. Decyzje kibucu wykonuje kilkuosobowy zarząd, kierowany przez jednego lub dwóch sekretarzy. Zarząd również reprezentuje kibuc na zewnątrz. Razem z sekretarzami wybierany jest na rok - dwa lata. Tak częsta rotacja ma uchronić zainteresowanych przed zdemoralizowaniem przez władzę.

Podstawowym zadaniem zgromadzenia jest podział pieniędzy. Część budżetu przeznaczona jest na rozwój kibucu,

modernizację produkcji, na inwestycje. Część wydaje się na tzw. zbiorową konsumpcję: na mieszkania, opłaty - telefon, wodę, gaz, jedzenie, wczasy, zdrowie. Duża część budżetu - nieraz 50% budżetu konsumpcyjnego - przeznaczana jest na wszelkie wydatki związane z dziećmi i szkolnictwem. Ok. 20% budżetu konsumpcyjnego idzie na konsumpcję indywidualną - czyli na tzw. kieszonkowe dla mieszkańców. Pieniądze te można wydawać w sklepie kibucowym (z tym, że wewnątrz kibucu nie ma obrotu prawdziwymi pieniędzmi, w sklepie kupuje się na talony) lub poza kibucem. W tym drugim przypadku płaci się kartą kredytową należącą do kibucu - nie wolno bowiem posiadać indywidualnych kont w bankach. Babcie i dziadkowie mają dodatek na prezenty dla wnuków. Rodzina nie jest jednostką ekonomiczną - dzieci utrzymywane są z osobnej puli, każde z małżonków także ma swoje osobne budżety osobiste. Standard życiowy podnosi się inwestując w wyposażenie wspólnoty, a nie podnosząc kieszonkowe (budżet osobisty). Za kieszonkowe kupuje się meble, komputery, gadżety. Pieniądze zarobione czy uzyskane na zewnątrz należą do kibucu.

## MOTYWACJA DO ŻYCIA W KIBUCU

Z pokolenia na pokolenie zmienia się motywacja do życia w kibucu. Pierwsza i druga generacja kibucników miały motywację wybitnie ideologiczną, życie w kibucu było dla nich wyrazem patriotyzmu, nie przykładano wagi do spraw materialnych. Obecnie powody ideologiczne nie są najważniejsze, chociaż oczywiście nadal istnieją. Dzisiejsi kibucnicy mają większe wymagania życiowe - zależy im na wykształceniu, na wyższym poziomie materialnym. Uważają, że należy brać pod uwagę rzeczywistą wartość pracy każdego kibucnika i w związku z tym różnicować wynagrodzenie. Mają coraz większą potrzebę prywatności, życia rodzinnego, kariery zawodowej.

Zaletą życia w kibucu jest silna więź z innymi mieszkańcami. Wydaje się, że mieszkańcy kibuców mają duże poczucie bezpieczeństwa psychicznego, fizycznego i socjalnego.

Mieszkaniec kibucu ma zapewnione mieszkanie, pracę, utrzymanie, leczenie itd. Jest zwolniony z wielu obowiązków domowych.

Wreszcie, w kibucach panują wyjątkowo korzystne warunki do wychowywania dzieci.

Z drugiej strony, życie w kibucu ma wady, jakich nie ma życie w mieście - w każdym razie nie w takim stopniu. W kibucu generalnie trudno mówić o wolności.

Więź międzyludzka staje się często ciężkim brzemieniem - człowiek znajduje się pod presją innych, wszyscy są od siebie mocno uzależnieni. Kibucnik dzień w dzień, od świtu do nocy zdany jest na towarzystwo zawsze tych samych ludzi. Wielkim problemem są plotki - wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą i ciągle o tym mówią.

Konflikty, jakie się zdarzają, często są bardzo ostre. Bywa, że ktoś popada w konflikt z całą społecznością - w takim przypadku może się to dla niego skończyć nawet opuszczeniem kibucu.

Ocenia się, że im mniejszy kibuc, tym mniej problemów społecznych, a więcej gospodarczych - i *vice versa*, im większy kibuc, tym bogatszy i tym więcej w nim problemów społecznych.

## KRYZYS I PRZEWARTOŚCIOWANIE IDEOLOGII

Już w 70. latach kibuce zaczęły zajmować się przemysłem i usługami. Dla ortodoksyjniejszych kibucników, wychowanych w kulcie pracy na roli, było to nie do zaakceptowania. Wtedy zaczęto powoli odchodzić od starych zasad - na przykład pozwolono rodzicom spędzać coraz więcej czasu z dziećmi.

Na początku lat 90. zmiany nasiliły się i pojawił się kryzys w ruchu kibucowym. Praca na roli sprzyja równości, a pracownik ma wpływ na to, co robi. Przemysł opiera się na hierarchii stanowisk (dyrektor, kierownik zmiany, mistrz, robotnik wykwalifikowany, robotnik niewykwalifikowany itd.) Jest to niezgodne z fundamentalną zasadą równości w kibucu.

W fabrykach zaczęto zatrudniać płatnych pracowników z zewnątrz. W tym momencie kibuc stał się pracodawcą. Przeciwnicy tego procesu uznali, że oto kibuc, jako kapitalista, zaczyna wyzyskiwać cudzą pracę. Powstawały antagonizmy między kibucnikami a najemcami, z powodu różnic w motywacji do pracy. Inną przyczyną kryzysu było zmniejszenie liczby osób w wieku produkcyjnym - młodzież nie chce zostawać w kibucach.

Niektóre kibuce zrezygnowały z kolektywnej konsumpcji, pozamykały wspólne jadalnie. Niektóre wynajmują domy osobom z zewnątrz, które tylko mieszkają w kibucu, pracują zaś i zarabiają na siebie poza nim. Praktycznie biorąc, wiele kibuców stopniowo przestaje być kibucami, przynajmniej w tradycyjnym znaczeniu.

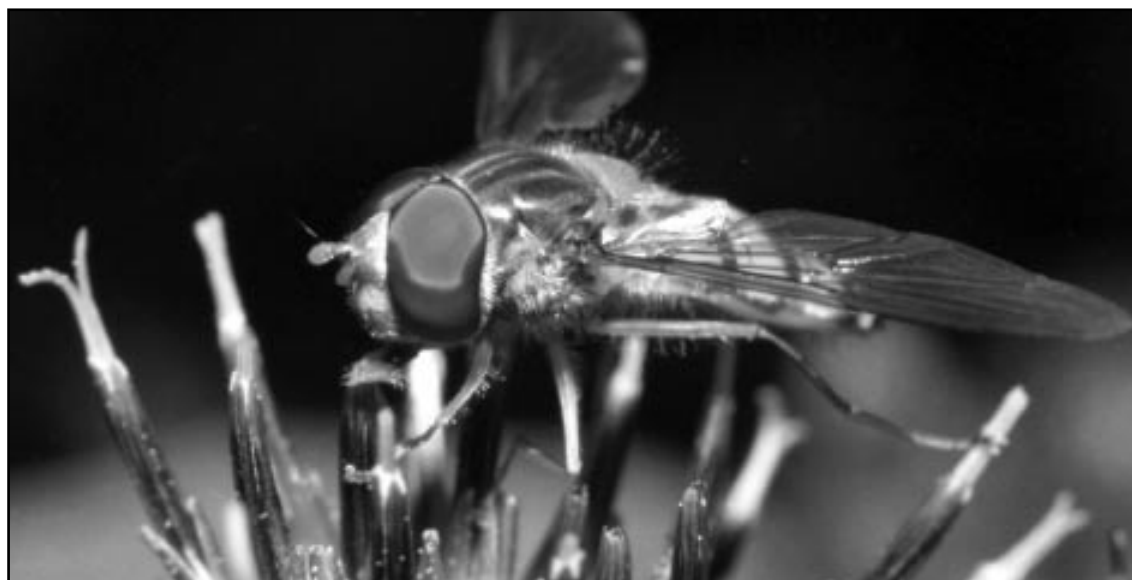
Oczywiście działacze ruchu kibucowego zdają sobie sprawę z sytuacji, zastanawiają się, jak z tego wybrnąć. Być może kibuce przeżyją i dalej będą funkcjonować na jakichś innych zasadach. ■

**Katarzyna Holda**  
jest absolwentką wychowania plastycznego na Wydziale Artystycznym UMCS w Lublinie, doktorantką w Instytucie Socjologii UJ.

## Andrzeja Kowalika opowieści z mikroświata

Andrzej Kowalik zainteresował się fotografowaniem już w szkole podstawowej. Do dziś pamięta pierwszy samodzielnie naświetlony negatyw ze zdjęciami kolegów pozujących w ośnieżonym, pełnym ostrego, zimowego słońca ogrodzie. Fotografie wykonane Druhem, wywoływane w starych talerzach, wspólnie z bratem ciotecznym, który samodzielnie skonstruował powiększalnik, zachwyciły go i zachęciły do dalszych eksperymentów. Przez jakiś czas fotografował pożyczonym Startem 6x6, zaś pierwszy własny aparat – Zenit S – kupił w warszawskim komisie w 1964 roku za pieniądze zarobione w czasie wakacyjnej pracy w charakterze pomiarowego. Później pojawiła się Practica Super TL, a następnie kupiona w NRD Exacta RTL 1000 z pryzmatem TTL, będąca w owych czasach w Polsce prawdziwym cudem techniki. Dziś fotografuje Nikonem F-80, choć czasem sięga też po starego Pentaconsix'a.





**ANDRZEJ KOWALIK** preferuje fotografię dokumentalną. Początkowo interesowały go głównie pejzaż i architektura, dokumentował więc Lublin i wiele innych miast, które zwiedzał podczas podróży służbowych, plenerów i wyjazdów wakacyjnych. Trudności związane z robieniem zdjęć z bliskiej odległości sprawiły, że zainteresował się tzw. makrofotografią. Brak dobrych lamp błyskowych, jasnych obiektywów oraz wysokoczułych negatywów, był prawdziwym wyzwaniem, jednakże wraz z gromadzeniem wiedzy warsztatowej, pokonywanie barier technicznych stawało się coraz łatwiejsze.

Dostrzeżona, dzięki wykonanym zdjęciom, uroda i różnorodność mikroświata, stała się w pewnym momencie głównym przedmiotem jego fotograficznych zainteresowań.

Andrzej Kowalik, w przeciwieństwie do wielu innych autorów, zajmujących się podobną tematyką, fotografuje zawsze w zastanych warunkach i nigdy nie krzywdzi swoich małych modeli. Z wykształcenia i z zawodu geodeta, traktuje fotografię jako twórczą, satysfakcjonującą pasję, pozwalającą mu na głębokie, osobiste obcowanie z przyrodą. Swoje zdjęcia pokazywał na wielu wystawach, zdobywając liczne nagrody na ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach. W 1997 roku otrzymał tytuł Artiste FIAP (Federation Internationale De L'art Photographique), a w roku 1999 - prestiżową nagrodę im. Fryderyka Kremsera nadawaną przez Komisję Fotografii Krajoznawczej przy Zarządzie Głównym PTTK. ■



Dużo łatwiej zostać ojcem niż nim być.  
(V.O. Kljucewski)

Magdalena  
Wójtowicz

# OJCIEC RODZINY

## JAKI JEST DZISIAJ OJCIEC

**Do niedawna badania nad rolą ojca w rodzinie stanowiły tylko dodatek do ogólniejszych badań nad rodziną. Funkcjonowało powszechne przekonanie, że to matka odgrywa wiodącą rolę w wychowaniu dziecka. Podobnie przedstawiały to środki społecznego przekazu, w których przez wiele lat usuwano w cień mężczyznę jako męża i ojca, nadmiernie eksponując rolę kobiety jako żony i matki.** Tymczasem rola ojca w wychowaniu dziecka jest równie ważna jak rola kobiety. Dowartościowanie ojcostwa staje się coraz bardziej widoczne w literaturze naukowej i powszechnej świadomości. Współcześni ojcowie zachęceni są do komunikacji z nienarodzonymi dziećmi, do uczestnictwa w porodzie, do pielęgnacji noworodka. Uświadamia się im konieczność zaangażowania w wychowanie, w zabawę z dziećmi, zainteresowanie ich sprawami. Jednocześnie ciągle brakuje pozytywnych wzorców, zarówno

Współcześni ojcowie zachęceni są do komunikacji z nienarodzonymi dziećmi, do uczestnictwa w porodzie, do pielęgnacji noworodka. Uświadamia się im konieczność zaangażowania w wychowanie, w zabawę z dziećmi, zainteresowanie ich sprawami. Jednocześnie ciągle brakuje pozytywnych wzorców, zarówno w społeczeństwie, jak i w mediach, które kształtują nasze wyobrażenie ojcostwa.

w społeczeństwie, jak i w mediach, które kształtują nasze wyobrażenie ojcostwa. Media pokazują mężów zdradzających swoje żony, ojców porzucających rodzinę, nie mających czasu dla bliskich, często nadużywających alkoholu lub uwikłanych w inne nałogi. Prezentują też często samowystarczalność macierzyństwa, które kiedyś nazywano samotnym - dziś mówi

się o rodzinie z jednym rodzicem.

Współcześnie często brakuje ojca w rozwoju dzieci. Zdarza się też, że ojciec jest obecny, ale albo nie docenia się jego obecności, albo sam nie potrafi określić swojego miejsca w rodzinie.

## OJCIEC JAKO MĄŻ

Ojcostwo, czyli relacja między ojcem a dzieckiem, zawsze poprzedzone jest relacją między ojcem i matką dziecka. To kobieta czyni mężczyznę ojcem. Z tego względu nie można rozpatrywać ojcostwa w oderwaniu od macierzyństwa i bez uwzględnienia relacji między mężem i żoną.

Ojciec ponosi odpowiedzialność za to, jaką kobietę wybiera na matkę swoich dzieci. Jest również odpowiedzialny za relacje ze swoją żoną, ponieważ są one decydujące dla prawidłowego rozwoju dziecka już od momentu jego poczęcia. Tak więc ojciec zaczyna pełnić swą ojcowską funkcję na długo przed urodzeniem się dzieci. Sukcesy w wychowaniu dzieci będą zależały od samowychowania ojca, od tego jak spójną i stabilną hierarchię wartości zdoła on wypracować i przekazać swoim życiem.

Podstawą udanego ojcostwa jest udane małżeństwo. Nie może być naprawdę dobrym tatą mężczyzna, który nie okazuje szacunku i miłości swojej żonie. Nawet jeśli w stosunku do dzieci ojciec jest troskliwy i czuły, a wobec matki zachowuje się oschle i lekceważąco, nie jest on wiarygodny w oczach dzieci. Ojciec powinien uczyć dzieci stosunku do matki, poprzez własny przykład. Jeżeli

tata odnosi się do mamy z szacunkiem, to dzieciom nie przyjdzie do głowy, że można inaczej.

Duży wpływ na postrzeganie ojca przez dzieci ma matka; może ona odgrywać rolę we wzmacnianiu ojcostwa, ale może też je osłabiać, buntując dzieci przeciwko ojcu. Zwłaszcza, kiedy ojciec jest nieobecny, kiedy odszedł, zranił matkę, jest ona skłonna



foto: Marta Kubiszyn

## Andrej z synem Dominikiem.

mówić o nim źle. Może wzbudzać w dziecku poczucie lęku przed ojcem, niechęci czy nawet wrogości wobec niego. Bez względu na to, jak bardzo ojciec „zawinił”, błędem jest niszczenie w dziecku szacunku do niego, ponieważ niszczy się tym samym poczucie własnej wartości dziecka, które jest integralną częścią ojca.

### OJCIEC W CIĄŻY

Już na etapie planowania dziecka mężczyzna, jeśli chce zostać w przyszłości pełnoprawnym i autentycznym ojcem, powinien uruchomić swoją wyobraźnię na temat pełnienia funkcji opiekuńczo-wychowawczych wobec dziecka. To jest też właściwy czas aby skonfrontować swoje wyobrażenia z żoną. Chodzi o to, żeby zdać sobie sprawę z rozłożenia akcentów uczuciowych u żony po przyjściu na świat dziecka, z konieczności poczynienia zmian we własnym stylu życia czy przyzwyczajeniach. Na pewno trudniej jest mężczyźnie, który nie korzysta z możliwości, jakie daje etap planowania dziecka. Okres ciąży jest zwykle wystarczającym czasem dla rodziców na przygotowanie się do zmian i zadań rodzicielskich.

Mężczyźni różnie mogą reagować na wiadomość o ciąży partnerki. Oczywiście w dużym stopniu zależy to od sytuacji, od charakteru związku z matką dziecka, od stopnia dojrzałości mężczyzny, od tego, czy myślał wcześniej o możliwości poczęcia, czy chciał tego dziecka, czy też było ono dla niego zaskoczeniem, pokrzyżowaniem planów życiowych.

W małżeństwie częstą reakcją mężów

na ciążę żony, zwłaszcza pierwszą, są uczucia opiekuńcze w stosunku do partnerki, rosnąca duma z małżeństwa, satysfakcja ze swej męskości, radość oczekiwania na dziecko. U części mężów rozwija się jednak poczucie, że są odsuwani na bok. Stają się wtedy oschli i wymagający w odniesieniu do żony i nie mogą w pełni zaakceptować potomka.

Dojrzały mężczyźni pragną głęboko wspólnie z kobietą przeżywać okres ciąży, poznawać tajemnice rozwijającego się dziecka, interesują się przebiegiem porodu, troszczą się o to, aby własną lekkomyślnością i niewiedzą nie zakłócać czasu oczekiwania. Mężowie powinni wiedzieć, że ich uczucia, myśli i czyny w stosunku do ciężarnej żony świadczą już pośrednio o ich stosunku do dziecka i ojcostwa.

### OJCOWSKIE RACZKOWANIE

Pierwsze dwanaście miesięcy życia to bardzo ważny czas dla rozwoju dziecka, dla całej jego przyszłej osobowości. Kształtują się wówczas cechy jego charakteru, wola, typ systemu nerwowego, rodzaj więzi między rodzicami a nim. W tym czasie bardzo ważną i trudną do zastąpienia osobą jest dla dziecka matka. Warto jednak pamiętać, że kobieta nie ma wrodzonych umiejętności pielęgnowania dziecka. Ma pewne predyspozycje, żeby być z dzieckiem, ale wykonywanie wielu czynności pielęgnacyjnych jest po prostu kwestią wprawy. Niektórzy ojcowie tłumaczą swoją nieobecność przy dziecku tym, że kobieta lepiej się nim opiekuje. Jeśli kobieta od pierwszych chwil życia dziecka

*Kiedyś nie wiedziałem, jak się odnosić do dziecka. Patrzyłem na nie jak na krokodyla w wiwarium nie mogąc znaleźć żadnych gestów ani słów, żeby nawiązać z nim jakikolwiek kontakt poza wzrokowym. Co więcej, miałem wrażenie, że patrzy ono na mnie podobnie. I tak – w moim wyobrażeniu – patrzyły na siebie przez szybę dwa krokodyle, z których jeden próbował przybrać jak najbardziej przyjazny i sympatyczny wyraz twarzy. Nie wiem jak, ale teraz wszystko się zmienia. Kiedyś myślałem, że wszystkie dzieci są podobne do siebie i nieciekawe. Teraz wiem, że jedno jest podobne do mnie i wyjątkowe – bo własne.*

Marcin Skrzypek,  
ojciec Michałka



zajmuje się nim, nie dopuszczając do zadań opiekuńczych ojca, rzeczywiście staje się ekspertką w sprawach dziecka. Jednak mężczyzna, który troszczy się o swojego potomka, znakomicie daje sobie radę z tym zadaniem - jest to dla niego sposób na odciążenie żony i wspianała okazja do nawiązania bliskiej relacji z dzieckiem. Ojcowie często odkładają zajmowanie się dziećmi na potem - gdy będą starsze. Są zwykle przekonani, że mają jeszcze czas, aby je wychować. Tymczasem dla rozwoju dziecka ważne są chwile spędzane z ojcem już w okresie niemowlęctwa. To wtedy następuje budowanie więzi. Ten pierwszy rok życia dziecka jest bardzo ważnym okresem także dla ojca, bo decyduje o kształcie jego ojcostwa. Nie mniejsze znaczenie ma bycie z dzieckiem w drugim i trzecim roku życia, kiedy doskonalą ono swoją sprawność fizyczną i nabywa ważną umiejętność społeczną, jaką jest mowa. Istotny jest również okres przedszkolny i wczesny wiek szkolny. Te wszystkie lata to jednak stosunkowo krótki czas, a jego niewykorzystania nie da się w żaden sposób nadrobić. W dzisiejszych czasach ta nieoceniona szansa na kształtowanie dzieci pojawia się nierzadko w chwili, gdy ojcowie nie mogą poświęcić się dzieciom w odpowiednim stopniu. Starają się zdobyć pozycję zawodową, biegnąc w nieustannym pościgu. Biorą dodatkowe zlecenia i pracują po nocach, aby żyć na odpowiednim poziomie i atrakcyjnie spędzić urlop, a potem padają kompletnie wyczerpani. Mijają kolejne

dni, a ojciec nie widuje się z dzieckiem, które tak bardzo go potrzebuje.

## ZAGUBIONE OJCOSTWO

W literaturze poświęconej rodzinie podkreśla się dziś kryzys roli ojca. Zanika wzór ojca uczestniczącego w wychowaniu dzieci, a upowszechnia się model ojca dorabiającego się, walczącego o dobra konsumpcyjne. Wpływa na to na pewno rozwój cywilizacji technicznej. Od mężczyzny oczekuje się ogromnego zaangażowania zawodowego, co pochłania znaczną część jego energii i zainteresowań życiowych. Oprócz pracy zawodowej znaczna część wysiłku skierowana jest na współzawodnictwo, rywalizację zawodową. Jednocześnie zmienia się pozycja kobiety: w imię równouprawnienia podejmuje ona pracę zawodową, którą trudno jest pogodzić z tworzeniem pełnej, zdrowej rodziny. Ruchy feministyczne zakwestionowały niezastępowalność ojca w wychowaniu, twierdząc, że wszystkie jego dotychczasowe funkcje może z powodzeniem spełnić kobieta. I rzeczywiście kobiety próbują przejmować te funkcje, podejmują męskie role, wypierając z nich mężczyzn. Tracą jednak na tym wszyscy - same kobiety, mężczyźni, a przede wszystkim - dzieci. W takiej sytuacji mężczyźni czują się zagrożeni w swej tożsamości. Stają wobec konfliktu między tradycyjnie pojmowaną męską rolą, a oczekiwaniami żony, by być nowoczesnym mężem i ojcem, który robi to samo i tak samo jak kobieta.

fot. Marta Kubiszyn



Andrzej z synem Dominikiem.

Kryzys ojcostwa widoczny jest pośrednio w młodym pokoleniu. Wielu młodych ludzi czuje się głęboko zranionych emocjonalnie przez swoich ojców. Zranienia te posiadają różną postać. Najczęściej przejawiają się one w niewrażliwości czy wręcz oschłości uczuciowej, będącej konsekwencją niewrażliwości uczuciowej ojca, która objawia się z jednej strony w postawie „twardego” zachowania, wyrażającego się w krzyku, częstym karaniu, braku szczerzej rozmowy, czy w zbytnim ograniczaniu osobistej wolności; z drugiej strony zaś, w postawie wycofywania się z życia rodzinnego oraz ucieczki „we własne sprawy”: w pracę zawodową, w mało znaczące hobby czy też w pozarodzinne życie towarzyskie. Szczególnie boleśnie dzieci przeżywają ucieczkę ojca w nadużywanie alkoholu.

## OJCIEC DLA SYNA, OJCIEC DLA CÓRKI

Najlepszą drogą dorastania do ojcostwa jest doświadczenie synostwa. Chłopiec, obcując z ojcem, nieświadomie przejmując jego sposób bycia, reagowania, spojrzenia na świat. Jeśli ojciec posiada spójną hierarchię wartości i zgodnie z nią żyje, syn pójdzie najpewniej tą samą drogą, a nawet jeśli zdarzy mu się z niej zboczyć, będzie umiał wrócić i poradzić sobie z trudnościami. Chłopcy mający dobry, emocjonalny kontakt z ojcem, o wiele łatwiej radzą sobie z poczuciem własnej wartości, z problemami natury emocjonalnej i seksualnej oraz z szukaniem potwierdzenia siebie w pracy zawodowej i właściwie rozumianym sukcesie.

Młody mężczyzna poprzez identyfikację z ojcem musi odseparować się psychicznie od matki. Silne związanie emocjonalne z matką sprawia, iż syn - przyszły mąż i ojciec - czuje się zagubiony, niepewny siebie i zbytnio zależny od kobiety. Zależność ta rani jednak jego męską dumę i rodzi wewnętrzny gniew, który zwykle szuka jakiegoś ujścia. Przechodzenie, alkoholizm, skłonności homoseksualne, męska brutalność, niedojrzałe relacje heteroseksualne, lęk przed dzieckiem i przymuszanie kobiety do aborcji - u wielu mężczyzn jest przejawem wewnętrznego konfliktu z kobietą, który bierze swój początek od konfliktu w relacji z matką.

Gdy nie ma ojca, chłopiec szuka innych wzorców męskości. Na ulicy, w telewizji, w grupie koleżeńskiej trafia często na wzorce negatywne, które przekonują go, że prawdziwym mężczyzną może stać się poprzez liczne kontakty seksualne, przemoc czy picie alkoholu.

Ojciec spełnia też ważną rolę w rozwoju dziewcząt. Umożliwia im poznanie właściwości psychicznych płci przeciwnej, dzięki

czemu dziewczyna może lepiej zrozumieć swoich kolegów, a w życiu dorosłym męża i synów. Dzięki ojcu dziewczynka uczy się, jak mężczyźni powinni ją traktować i jak ona powinna się do nich odnosić. Badania pokazują, że zdolność kobiety do stworzenia udanego, satysfakcjonującego związku emocjonalnego z mężczyzną jest bezpośrednio związana z jej stosunkiem do ojca. Z kolei dziewczęta, które nie zaznały ojcowskiej czułości, nie usłyszały pochwały, mają już w okresie dorastania ogromne problemy z właściwym stosunkiem do mężczyzn. Nierzadko zdarza się, że spragnione czułości oddają się pierwszemu mężczyźnie, który okaże im zainteresowanie i troskę. Kobieta, która nie doświadczyła miłości ojcowskiej, czuje się gorsza od innych i szukając dowartościowania, wchodzi w przypadkowe związki z mężczyznami dającymi jej namiastkę uczucia.

## OJCOSTWO SZANSĄ NA SPEŁNIENIE

Dojrzałe ojcostwo jest jedyną szansą na prawidłowy rozwój dzieci: ojciec wdraża je do przestrzegania norm społecznych, tworzy warunki do zaspokajania ich potrzeby bezpieczeństwa, daje im oparcie i wzmacnia samoocenę. Dobry kontakt emocjonalny z ojcem w okresie dzieciństwa i dojrzewania staje się fundamentem równowagi emocjonalnej i poczucia bezpieczeństwa na całe późniejsze życie, zarówno u dziewcząt jak i u chłopców.

Ojcostwo jest też dla samego mężczyzny szansą na rozwój i spełnienie. Praca zawodowa daje co prawda mężczyźnie możliwości doskonalenia się, ale jest to rozwój niepełny. Nie ma w niej zwykle miejsca na realizowanie takich cech jak opiekuńczość, cierpliwość, czułość, wyrozumiałość. Te cechy mężczyzna najpełniej może rozwinąć w rodzinie, zwłaszcza w kontakcie z dziećmi.

Nie znaczy to, że ojciec ma zastępować w rodzinie matkę. Tutaj wymienność nie jest możliwa: ojciec nie jest w stanie zastąpić matki, tak jak matka nie jest w stanie wejść w rolę ojca. W rozwoju dziecka powinni być obecni oboje rodzice. Każde z nich bowiem, w sposób specyficzny dla swojej płci, oddziałuje na dziecko. Żadne z rodziców nie jest ważniejsze ani lepsze, uzupełniają się oni w sposób komplementarny, a co więcej, potrzebni są oni dziecku razem jako związek osób. Bowiem to, co jest najważniejsze dla prawidłowego rozwoju dziecka, to nie tyle osoba matki czy ojca, ale łącząca ich więź, będąca wzorem relacji z innymi ludźmi. Dlatego pierwotnym zadaniem każdego ojca, jest być dobrym mężczyzną, a zadaniem matki, jest przede wszystkim realizować swoją kobiecość. ■

### Literatura

Eichelberger W., *Zdradzony przez ojca*, Warszawa 1998

Kornas-Biela D. (red.), *Oblicza ojcostwa*, Lublin 2001

Mierziński B., *Mężczyzna – mąż – ojciec*, Otwock 1996

Pulikowski J., *Warto być ojcem*, Poznań 2002

Pospisyl K., *Ojciec a rozwój dziecka*, Warszawa 1980

Witczak J., *Ojcostwo bez tajemnic*, Warszawa 1992

### Magdalena Wąjtowicz

jest psychologiem, pracuje jako doradca rodzinny, jest mężatką i mamą dwuletniej Natalki.

Marzena Baum ■

## Po zamknięciu klasztornej furty...

### Życie codzienne średniowiecznego mnicha

Jeśli chodzi o dzieje zakonników, to poza śpiewem gregoriańskim, architekturą i paru zabawnymi czy groteskowymi epizodami, dla większości osób jest to terra incognita historii średniowiecznej. Jednakże na temat każdego z średniowiecznych zakonów, każdej kongregacji, szczegółów życia i dziejów tych ludzi, ich duchowości, ascezy czy nawet ubioru pisało od stuleci bardzo długie, bardzo uczone i bardzo szczegółowe komentarze. W klasztornych bibliotekach jeszcze dziś można znaleźć księgi zwyczajów, swoisty *savoir-vivre* zakonnego życia.

**PRAWDA JEST, że życie codzienne zakonników cały swój sens znajdowało (i znajduje do dziś) w modlitwie i nabożeństwach; że jest ono skoncentrowane, uporządkowane i zorganizowane według ściśle określonych pór dnia. Obok modlitwy istniała jednak jeszcze praca, posty i wyrzeczenia, drobne codzienne czynności i obowiązki, drobniogowo obmyślane gesty.**

Wybermy się więc w podróż – wyprawę w przeszłość, która pokaże życie niezwykle, biegnące według odmiennych rytmów, obowiązujących niezależnie od wszelkich zmian, dzień po dniu, godzina po godzinie...

#### DŁUGI DZIEŃ ZAKONNIKA

„Właśnie wybiła północ. W przeszwanym modlitwami półmroku męskie postacie w pośpiechu dążą do prezbiterium kościoła, lekko sunąc w swoich sandałach. Zaczął się długi dzień zakonnika. Będzie płynął godzina za godziną w takt „matutinum” i „laudes”, primy, tercji, seksty i nony, nieszpórów i komplet.”

Trudno dziś dokładnie odtworzyć rozkład zajęć średniowiecznego mnicha. Plan dnia zmieniał się w zależności od zakonu, kongregacji, pory roku i okresu liturgicznego.

Powszechne były nocne, modlitwne czuwania. Zaczynały się tuż po północy, by trwać do godziny drugiej lub trzeciej nad ranem. Po krótkim odpoczynku (ok. czwartej), witano świt kolejną porcją modlitw i śpiewów.

Kto chciał w wiekach średnich wieść żywot szczególnie przykładowy, musiał wstawać bardzo wcześnie, w porze, kiedy inni jeszcze spali. Zakonnicy zawsze mieli predylekcję do godzin nocnych i świtania - zmierzch uznawano za „porę podejrzaną”. Święty Bernard głosił chwałę godzin czuwania, chłodnych i spokojnych, kiedy czysta i swobodna modlitwa wesoło wznosi się do ku niebu, umysł jest jasny, a cisza doskonalsza niż o każdej innej porze. Powinnością zakonników było modlić się w czasie, kiedy nie modlili się inni, głosić „*laus perennis*”, osłaniając w ten sposób świat prawdziwą tarczą duchową. Zaskoczony burzą morską król francuski

Filip August powiedział: „Obyśmy tylko dotrwali do jutrzni, a będziemy ocaleni, wówczas bowiem mnisi zaczynają oficjum i nas zlużują w modlitwie.”

Definitywnie wstawano około godziny 5.45, wraz ze wschodem słońca. „Kto nie zrywał się z posłania na pierwszy dźwięk dzwonów – pisze św. Benedykt – popełniał grzech, z którego musiał się spowiadać podczas kapituły win.” Nie mogło być mowy o powtórnym zaśnięciu. Zresztą wyznaczano mnicha, który krążył z latarnią w rękę i miał wyszukiwać tych, którzy zaspali. Jeżeli natrafił na kogoś z nich, stawiał latarnię w nogach łóżka i obudzony śpioch musiał – „by wszyscy się dowiedzieli”- wędrować po całym klasztorze z latarnią w rękę do chwili gdy, znalazł następnego winowajcę. Trzeba więc było wstawać szybko, by nie spóźnić się na jutrznię.

Główny tron rozpoczętego dnia zajmowała modlitwa: czuwania, msze, lektura Ewangelii lub rozdziału zakonnej reguły, nieszpory, wspólne śpiewy. Zawsze też musiał znaleźć się czas na kapitułę – zebranie całej wspólnoty w celu rozpatrzenia rachunków, omówienia bieżących spraw klasztoru i rozliczenia „krmąbrnych mnichów” ze srogiej dyscypliny (tak zwana kapituła win).

#### ORA ET LABORA

Wczesne przedpołudnie i późne godziny popołudniowe przeznaczone były na pracę. W dużej mierze była ona fizyczna – miała służyć zwalczaniu lenistwa i stanowić ćwiczenie w pokorze. Do najbardziej powszechnych zajęć zakonnych należało przepisywanie manuskryptów (kopiowanie ksiąg uważane jest wręcz za specjalność zakonników) – wbrew pozorom jedno z najcięższych zajęć w klasztorze. Wydajność pracy wynosiła trzy i pół karty dziennie. Trzeba więc było roku, żeby przepisać Biblię (ponad 1200 stron). Posłuchajmy skarg pewnego kopisty: „Zacni czytelnicy, którzy posłużycie się tą pracą, pamiętajcie proszę o tym, który ją skopiował. Uważajcie na swoje palce! Nie dotykajcie nimi mojego pisma! Nie wiecie, co to znaczy pisać! Jest to straszliwa harówka: zgina wam grzbiety, przyćmiewa wzrok, powoduje ból w żołądku i w zębach... Módlcie się za biednym Raula...”

Równie powszechnym zajęciem była produkcja wina. To właśnie monastycyzm na powrót rozpowszechnił w Europie, po wielkich najazdach barbarzyńskich, uprawę winnej latorośli, którą wprowadzał wszędzie, gdzie pozwalały na to warunki klimatyczne. Prawie każdy zakon posiadał swą winnicę. Nie bez racji też mnisi zostali nazwani „ojcami winnej latorośli”, a wino stało się jednym z podstawowych składników codziennego, zakonnego posiłku. Podstawowym do tego stopnia, że nieumiarkowanie mnichów w spożywaniu win było od wieków tematem żartów, częściej dobrodusznym niż złośliwym. Powszechnie znany wierszyk głosił:

*Kapucyn ledwie gustuje w napitku,  
Celestyn tęgą przechyla szklanicę,  
Jakobin kufel za kuflem wysącza,  
Lecz franciszkanin opróżni piownicę.*

Mnisi trudnili się również nauczaniem, pracą na dworach książęcych bądź biskupich, uprawą roli. Dobroczynnej działalności zakonów średniowieczne społeczeństwo zawdzięcza istnienie przytułków, szpitali, wszelkiej opieki społecznej. Widzimy ich także przy pracach nie mających nic wspólnego z zakonną egzystencją – przy wydobywaniu węgla, torfu, ołowiu, w zakładaniu cegielni i młynów. Kartuzi i cystersi specjalizowali się nawet w produkcji witraży i wyrobów ze szkła.

Po pracy – chwila relaksu. Wszystkie dawne reguły pozwalały na popołudniową drzemkę. To ustępstwo tłumaczono krótkością klasztornej nocy, trudami nocnego czuwania, zmęczeniem pracą. Przeciętą drzemką trwała około jednej godziny. Dozwolone były również, w ramach wypoczynku, przechadzki po lesie, „kiedy daje się we znaki zmęczenie oczu, ból głowy, czy też przykre napięcie i koniecznie należy się jakoś rozerwać(!)” Wszelkie gry były surowo zabronione – zwłaszcza w czasie rekreacji. Nie pozwalano nawet na grę w szachy, a już gra w kości zaliczana była do występków zasługujących na ekskomunikę.

Specyficzną cechą życia zakonnego, która dziś może zadziwiać, była pora posiłków. Nie spożywano ich przed dwunastą w południe. Dla ludzi, którzy od drugiej w nocy byli na nogach było to bardzo uciążliwe. W rozkładzie dnia figurowały tylko dwa posiłki: obiad (prandium) w południe oraz lekka kolacja (cena), którą spożywano pomiędzy godziną 17 a 18. W przypadku dni postnych, które zdarzały się co najmniej trzy razy w tygodniu, jedynym posiłkiem dnia był obiad.

Na spoczynek udawano się wieczorem około godziny 19. Średnia czasu przeznaczona na sen sięgała więc około 6 i pół godziny na dobę.



Kopista. Miniatura. Cantorbéry, poł. XII w.

Nietrudno się zorientować, że życie zakonnika od chwili przebudzenia do godziny spoczynku było z niesłychaną dokładnością zorganizowane, przemyślane i zaprogramowane. Najdrobniejsze fakty życia codziennego, sposób, w jaki należało pozdrowić opata, przyjmować chleb, trzymać dzbanek, zostały punkt po punkcie opisane w księgach zwyczajów. Ale to bogactwo szczegółów nie powinno przysłać nam prawdy, że życia zakonnego nie zorganizowano po to, aby „zbierać siano, rozdawać jałmużnę czy też przepisywać manuskrypty”, lecz wyłącznie, aby się modlić. Istotnie powiedzieć „modlili się”, znaczyłoby streścić egzystencję tych tysięcy ludzi, którzy w każdym stuleciu poddawali się coraz surowszym rygorom w jednym tylko celu: by życie swe poświęcić Bogu. Post i wyrzeczenia, wstawanie w nocy, przerywanie snu, obowiązek posłuszeństwa i dochowania ślubu czystości, praca – wszystko było modlitwą w życiu prawdziwych *Rycerzy Chrystusa*.

## MILCZENIE I MOWA ZNAKÓW

Rzadko można znaleźć reguły czy też zbiory zwyczajów, w których nie byłoby rozdziału poświęconego milczeniu. Pragnienie ciszy i chęć zapewnienia jej sobie możliwie jak najwięcej, przejawiały się na każdym kroku. Jak czytamy w księdze zwyczajów „tylko milczenie warg jest warunkiem umożliwiającym sa-

bat serca, albowiem milczeniem karmią się wszystkie cnoty.”

Milczenia wymagano przede wszystkim w kościele, refektarzu (miejsce spożywania posiłków), dormitorium (miejsce snu, wspólne dla wszystkich zakonników) i wirydarzu (dziedziniec przyklasztorny z ogrodem, gdzie odbywały się główne czynności wspólnoty, rozdział pracy, procesje). Po komplecie zapadało już wielkie milczenie, które jeszcze dzisiaj należy do najbardziej przejmujących momentów zakonnego życia.

Działanie wspólnoty wymaga jednak wymiany słów. Jak sobie radzono? By nie przekraczać zakazu milczenia, posługiwano się drewnianymi tabliczkami pociągniętymi woskiem, które zakonnicy nosili u pasa. Często stosowano też mowę znaków – słowa „pisane” palcami, których symbolizm dziś wywołuje uśmiech. Oto parę przykładów: mleko – mnich wkładał mały palec w usta tak jakby to zrobił mały chłopiec. Chleb zwyczajny – kreśli się kółko kciukiem i dwoma przylegającymi palcami. Inne znaki pozwalały odróżnić chleb żytni od owsianego i pszennego, a także wino zaprawione korzeniami od zaprawionego miodem oraz białe od czerwonego. Mowa znaków nie była wszędzie taka sama. Symbole stosowane w jednym klasztorze były „językiem obcym” dla zakonników klasztoru sąsiedniego. Porozumiewanie się za pomocą rąk intrygowało niezmiernie ludzi świeckich.

## PIRAMIDA SAMOZAPARCIA

Wiara średniowiecznych zakonników bardzo często prowadziła do pobożnych ekstrawagancji, do praktyk na modłę derwiszów, do postępów, w których nie brak nawet pewnego masochizmu. Czas spędzony w klasztorze to okres wielkiego duchowego wyciszenia, głębokiej pokory, modlitw i surowych ascetycznych praktyk. Wiele rodzajów umartwień indywidualnych bądź zbiorowych narzucanych przez regułę i obyczaj dziś uznaje się wręcz za niepokojące. A przykłady dawane przez zagorzałych ascetów, mimo że heroiczne, a może właśnie dlatego, nie zawsze były zalecane.

Pomiędzy ustawiczne posty, cierniowe krzewy i rozżarzone węgle, po których tarzano się, aby „zwalczać” namiętności. Nie mówmy o odmawianiu z rozkrzyżowanymi ramionami całego psalterza, „modlitwie na gołych kolanach prawie nieustannej”, czy ostrej chłości, od której „ciało aczkolwiek niewinne, zranione i skatowane nieraz zemdlone bywało”. Praktyki powyższe były tak powszechne, że często wręcz przewidywane regułą.

Cóż jednak powiedzieć o „ascezie w sensie psychicznym”? O wykopanym

grobie, do którego codziennie, po tercji, opat i mnisi rzucali garstkę ziemi, aby żywej uprzytomnić sobie realność śmierci? Albo o trumnie ustawionej w tym samym celu przy wejściu do kościoła? Cóż sądzić o wrzącym wosku, który „kropla po kropli opuszczano na ciało, aby przywołać na pamięć cierpienia Syna Bożego, jakich doznał w czasie męki”? Od kropeł stopionego wosku do Golgoty – musimy przyznać - droga daleka. Najważniejszą rzeczą jest tutaj stwierdzenie, do jakich praktyk mogło doprowadzić ludzi tak powszechne przecież w średniowieczu zamięłowanie do „rekordów umartwienia”.

Motyw ostrej ascezy spleta się w księgach zwyczajów z aktami świadczącymi o heroicznej pokorze zakonników. Dla przykładu: w klasztorach wołombrozjanów nowicjusze czyścili chlewy, nie używając łopaty, gołymi rękami.

Zadziwiające jest jednak to, że tym wszystkim przejawom surowej pokuty i ascezy towarzyszy głęboka pogoda ducha. To nie jest asceza ponura, dochodzi w niej do głosu radość z fizycznych cierpień - radość z możliwości naśladowania Chrystusa!

Tak płyną godziny dnia a dni zmieniają się, zależnie od pory roku. Zostać mnichem to wyrzec się rytmów ziemskiego czasu, żyć w specyficznym zawieszeniu, gdzie każda chwila podporządkowana jest klasztornej sentencji *memento mori*.

## W CENNEJ GODZINIE ŚMIERCI

Stare księgi zwyczajów ściśle wyznaczają reguły postępowania w chwili śmierci zakonnika. Współbracia umierającego mieli obowiązek rozciągnąć na ziemi albo na słomie włosienicę, popiołem naznaczyć na niej znak krzyża i dopiero wówczas ułożyć chorego. Spowiedzi wysłuchiwał sam przeor bądź opat. Chory prosił wszystkich współbraci o wybaczenie grzechów, które popełnił przeciwko Bogu i przeciwko nim, po czym w obecności zgromadzonych, wpatrzony w krucyfiks, przyjmował komunię pod dwoma postaciami.

Po śmierci myto ciało gorącą wodą w infirmerii (klasztorna izba chorych), na specjalnie przeznaczonym do tego kamieniu. Trud ten zastrzeżony był dla zakonników tej samej rangi, co zmarły: tak więc kapłana myli kapłani, konwersa – współbracia. (Kapłani musieli się potem wykapać, by znowu móc odprawiać mszę.)

Splecione dłonie zmarłego wsuwano pod szkaplerz, który zszywano po bokach, kaptur opuszczano na twarz. Tak samo postępowano z obuwiem i pończochami, żadna część odzienia nie mogła leżeć luźno. Ciało zmarłego okadzano i skrapiano wodą święconą. Zwłoki obowiązkowo musieli nieść do kościoła ci,

którzy je myli. Wszyscy bracia gromadzili się wokół trumny – w tych zakonach zaś, gdzie jej nie używano, wokół deski, na której układano zmarłego. Zapalano dwa świeczniki – jeden przy głowie (gdzie też umieszczano krzyż), drugi w nogach. Od tej chwili cała wspólnota czuwała aż do pogrzebu przy trumnie, z wyjątkiem godzin nabożeństwa, kapituły, posiłków i snu – jeden z braci jednak czuwał stale. Następnie zakonnicy składali ciało w ziemi, odmawiając przy tym wszelakie modlitwy, litanie i psalmy, zgodne z bardzo drobiazgową liturgią. Nie było mowy o kwiatach. Tam, gdzie reguła nie przewidywała pochówku w trumnie, zwłoki kładziono wprost na ziemi lub pod drewnianą przykrywą. Przełożony jako pierwszy rzucał trzy łopaty ziemi, po czym robili to inni przy wtórze modłów i śpiewu *aż ziemia całkowicie ostoni ciało*. Po ceremonii wszyscy wracali do klasztoru, gdzie zdejmowali z siebie uroczyste, białe szaty. Gasły świece, cichły dzwony...

Istniał zwyczaj, by prowiant (prae-bende) przynależny zmarłemu dzielono przez następny rok pomiędzy ubogich, tych „odźwiernych nieba” jak ich nazywał św. Odon. Przez trzydzieści dni zakonnicy wspólnie odprawiali śpiewane nabożeństwo za zmarłego oraz poświęcali mu siedem kolejnych mszy. W zakonach o szczególnie zaostrzonej regule (np. awellonów) po śmierci mnicha, każdy z braci zobowiązany był trwać tydzień o chlebie i wodzie, wymierzyć sobie siedem dyscyplin po tysiąc uderzeń każda, wykonać siedemset głębokich pokłonów i trzydziestokrotnie odmówić psalterz. Jeżeli zmarły nie zdążył zakończyć swoich ćwiczeń pobożnych, pozostali przy życiu rozdzielali pomiędzy siebie to, co należało jeszcze zrobić albo odmówić.

W każdym zakonie wiadomość o śmierci przekazywano wszystkim klasztorom w prowincji. Aby nie mnożyć zawia-domień, jako że pergamin był kosztowny, poprzestawano na wypisywaniu wieści i polecano jednemu z ojców, aby wędrował od klasztoru do klasztoru okazując dokument. Każdy klasztor składał kondolencje, wpisując jakąś pobożną myśl albo stereotypową formułkę na temat zmarłego, czasem „cukierkowy” wiersz ku jego czci. Dodawane jedne do drugich kondolencje tworzyły w końcu rulon, nazywany rulonem zmarłych, który osiągał czasem ponad dwadzieścia metrów długości.

## ANIELSCY MNISI – ZIEMSCY LUDZIE

Jak więc się przekonaliśmy, życie codzienne zakonnika nie jest wcale codzienne w sensie banalności, czy też monotonii. Jest to życie dramatyczne, intensywnie odczuwane i przeżywane w nieustannie

zmieniających się rytmach roku liturgicznego. W przeciwieństwie do tego, co sądzi się na ogół, trudno o coś dalszego od rutyny w życiu przeciętnego zakonnika. Jest ono tak różnorodne, jak różni są ludzie tworzący wspólnotę, a klasztor siłą rzeczy zawiera ogromną różnorodność ludzkich typów. Najbardziej dobitnie świadczy o tym fragment z listu pewnego dominikanina:

*Opactwo przyrównać można do orkiestry, bo jest tam wszystko: skrzypce, które grają zgodnie, i instrumenty dęte, które wkraczają, nie bacząc na inne; jest saksofon a w kąciuku człowieczek z trianglem, na którego widok zastanawiamy się, do czego też może służyć... W opactwie znajdziesz lenia, zrzędę, rygorystę, trzpiota, pobożni-sia, człowieka „do wszystkiego”, którego inni wykorzystują, naprawiacza świata, entuzjastę (jest trochę naiwny, a czasem nawet niemądry, ale sympatyczny), a wreszcie melancholika. Trafi się zakonnik w tarapatkach (mniej lub bardziej apatyczny), jest gderacz, niestrudzenie usłużny; jest człowiek bardzo oddany i całkowicie nieudolny, który martwi się, że nikt nie prosi go o pomoc. Jest niepoprawny maruda i mnich popędliwy, który wpada w złość i zaraz tego żałuje; są tacy, co się dąsają, i tacy, których nikt nie chce wysłuchać, a wśród panującej ciszy przemyka Duch Ciemności, aby szepnąć, że ojciec X żywi do ciebie urazę; jest wreszcie taki, który oburzając się na wszystko co wynika z norm, zbyt jawnie to okazuje, i taki, który (w zacnej intencji) zagarnia narzędzia albo księgę na swój wyłączny użytek; jest i bałaganiarz, który nic nie kładzie na właściwym miejscu.*

Kroniki i księgi zwyczajów wyraźnie świadczą, że i najlepsi mają swoje słabości i że życie duchowe nie zawsze płynie równie szerokim strumieniem, codziennie i przez całe stulecia nawet w najbardziej wymagających opactwach, nawet u świętych ludzi, jakimi są zakonnicy...

Ogólnie jednak biorąc, przy swoich wzlotach i upadkach, przy ciężkim częstym brzemieniu, jakim jest wspólne życie i stałe przestrzeganie reguły, egzystencja zakonnika była i jest jedną, wielką i pełną radością. „W ciągu dwóch tygodni nie przyłapałem ani jednego mnicha na zbrodni smutku” – pisze pewien francuski kupiec. I dalej „Nigdy nie spotkałem chłopaków weselszych, bezpośredniojszych, mniej samotnych niż ci samotnicy w swoich celach. Wszędzie widziałem radość szlachetnej próby, stałe poszanowanie człowieka, prawdziwie ludzką serdeczność.”

A czyż to nie byłaby wielka ulga, spotykać ludzi od rana uprzejmych i uśmiechniętych, którzy nie czują się zobowiązani, jak tyłu naszych znajomych, już przy pierwszym śniadaniu narzekać na cały świat...

**Marzena Baum**  
jest historykiem, doktorantką  
w Instytucie Historii KUL

Halina  
Solecka

# ZWYCZAJE ZIELONOŚWIĄTECZNE

Wiosna w tradycyjnej obrzędowości jest początkiem wielu praktyk i zabiegów mających na celu zapewnienie pomyślności, obfitych plonów, będących podstawą bytu rolnika.

**JEDNYMI z ciekawszych są obrzędy związane z okresem Zielonych Świąt i wigilią św. Jana. W polskiej tradycji ludowej te ostatnie nazywa się Sobótką (nazwa pochodzi od ogni palonych w noc świętojańską, często w sobotę), czy Kupałnocką (od imienia pogańskiego bożka Kupały lub słów pochodzenia polsko-ruskiego „kupało” czy „kupała”, które oznaczają kąpiel).**

Już sama etymologia nazewnictwa wskazuje na archaiczny rodowód tego święta. Jego obchody wywodzą się z pradawnych praktyk powitania lata, a więc porą roku kojarzoną z płodnością i miłością. Rytuały związane z pierwotnymi obchodami tego święta opierały się głównie na wierze w oczyszczającą moc ognia i wody i oscylowały na pograniczu czarów i magii.

Wyobraźnię ludzi w wielu kulturach szczególnie pobudza pora letniego przesilenia słońca. W przeszłości w całej Europie najkrótsza w roku noc była porą wielu obrzędów i wróżb – porą sprzyjającą magicznym praktykom miłosnym, nocą zabaw. Wierzono powszechnie, że w noc świętojańską cała ziemia i przyroda podatna jest szczególnie na ożywczy impuls budzący do życia i płodności. Wierzono, że w tą tylko noc zakwitła paproć, której kwiat widoczny jest nawet w ciemności. Znalezienie tego kwiatu zapewnia szczęście i bogactwo.

Zielone Świątki to z kolei jedno z największych świąt chrześcijańskich. W Kościele jest to Święto Zesłania Ducha Świętego na apostołów, obchodzone w szóstą niedzielę i poniedziałek po Wielkanocy. W liturgii kościelnej kończono cykl obchodów Wielkiej Nocy i nosi nazwę Paschy Czerwonej (od koloru szat mszalnych, podczas gdy Wielkanoc nosi zaś nazwę Paschy Białej).

Zielone Świąta obchodzimy w maju – najbardziej wiosennym miesiącu, w okresie intensywnego wzrostu roślin na polach, łąkach i ogrodach. Stąd tak wiele zwyczajów związanych z obrzędowością rolniczą i hodowlaną towarzyszyło zawsze tym świętom.

Obchody Zielonych Świąt odnotował już Jan Długosz. Pisał on krytycznie o odprawianiu corocznych i starsłowiańskich igrzysek zwanych *stado*.

Nazwa „stado” była (wg A. Brücknera) pochodzenia niemieckiego *stute*, a więc nie miała rodzimego rodowodu. W tych typowo wiosennych obchodach (wg B. Wojciechowskiej) zlewały się prawdopodobnie zaklęcia płodności i urodzaju oraz elementy zaduszne. Na słowiański rodowód obrzędu wskazuje przekaz Kosmasa (jeden z Żywotów Ottona, biskupa Bambergu). Kosmas podaje, że we wtorek lub środę Zielonych Świątek wieśniacy odwiedzali groby zmarłych, „tańcząc z założonymi na twarz maskami i wywołując cienie zmarłych”.

Wprawdzie na terenie ziem polskich powyższe zachowania nie znajdują potwierdzeń, ale wspomniane materiały, chociażby Długosza, potępiają raczej stanowczo świecką wersję obchodów Zielonych Świąt z hucznymi tańcami i zabawą - *igra-mi*, dopuszczającymi rozwiązłość. Już od XV wieku pojawiły się zarzuty o „niewłaściwym” zachowaniu towarzyszącym tym obchodom (np. w statutach biskupa krakowskiego Piotra Wysza).

Tańce, śpiewy i muzyka towarzyszące zabawom miały charakter ludyczny, ale pamiętać należy, że już wtedy jej uczestnicy byli chrześcijanami. Stąd też Kościół potępiał takowe praktyki, dążąc do nadania obchodom Zielonych Świąt charakteru religijnego.

Najważniejszym atrybutem Zielonych Świąt, tak dawniej jak i obecnie, jest zielona gałązka ze świeżo rozwiniętymi listkami. Symbol ten jest czytelny na całym świecie – oznacza budzące się życie, odradzające się siły witalne przyrody – wiosnę. Gałąź zielona występuje więc w obrzędowości wielu ludów rolniczych i pasterskich. Występuje ona w licznych obrzędach, także w polskiej tradycji ludowej.

Do naszych czasów zachował się, zarówno na wsi, jak i w mieście, zwyczaj majenia domów na Zielone Świątki. Do dekoracji używane są gałązki wierzby i brzozy, a nawet całe małe drzewka. Gałązki zawieszają się nad drzwiami domów, stodół, a nawet na płotach i furkach. W mieszkaniach gałązkami ozdabia się obrazy „święte”. Ścieżki, podwórka i podłogi, a nawet psie budy wyściełano „kalmusowym” zielem, czyli tatarakiem. Czyniono tak również ze względów praktycznych, gdyż był on skutecznym środkiem w walce z insektami i owadami.

W Lubelskiem dom i podwórko również zaścielano tatarakiem, zwanym tu lepichem. W futrynach domów oraz na polach, gdzie rósł len, konopie i warzywa zatykano gałązki klonu. W świętowaniu powielkanocnym używano również rekwizytów odwołujących się do przodków. Były to głównie woda, ogień, kwiaty i jaja.

Niekiedy tradycja „majenia” domów, trwająca w Polsce od wielu stuleci, oceniana była nagannie. W XVII i XVIII wieku, w większych majątkach ziemskich, próbowano zakazywać tych zwyczajów (np. Anna Jabłonowska zakazywała majenia – ze względu na „straty lasu”). Zalecała zamiast tego, sadzenia w Świętąki drzew fruktowych”. Jednak wiara w szczególną moc zielonej, świeżej gałązki była silniejsza niż owe zakazy. Wszak wierzono, że chroni ona od zarazy, czarów i wszelkiego zła.

W dniu Zielonych Świętek, po nabożeństwie, składano ongiś ofiary w postaci chleba, kaszy, słoniny, kielbasy, sera, masła, jaj, jabłek itp., jako wynagrodzenie dla duchownego i służby kościelnej. Przynoszenie jedzenia, jako daru dla kapłana, to widoczny dowód dawnych rytuałów adresowanych głównie do dusz zmarłych.

W dawnej obrzędowości zielonoświątkowej świętowano trzy dni. Odprawiano mszę za dusze zmarłych, święcono pokarmy, a jedzeniem obdarowywano ubogich. W trzeci dzień świąt kapłan prowadził procesję w kierunku obsianych pól. Wierni wędrowali granicami pól, niosąc chorągwie i obrazy.

Czas wiosny i ożywienia w przyrodzie był pretekstem do świętowania i zabaw. Oskar Kolberg stwierdził, że w Poznańskim istniał w XIX wieku zwyczaj **stawiania maja**. Była to ociosana sosna, którą chłopcy przybierali wstążkami i wbijali w ziemię na podwórzu najładniejszej dziewczyny lub na środku wsi. Na wierzchołku **maja** zawieszano butelkę wódki, miodu lub jakąś część ubrania. Stanowiło to nagrodę dla śmiałka, który wdrapał się na wierzchołek. Natomiast przed domem dziewcząt brzydkich podrzucano **dziada** z grochowin i słomy. Zwyczaje te znane były także na Ziemi Rzeszowskiej i na Śląsku.

Zielone Świętąki to także zabawy pasterzy. Cel tych zabaw wraz z towarzyszącymi im zabiegami był taki sam, jak w przypadku poczynań rolników obchodzących pola z procesją. Chodziło o zabezpieczenie bydła przy pomocy zabiegów ochronnych. Wierząco bowiem, że w wigilię Zielonych Świętek i św. Jana czarownice są szczególnie aktywne. Okadzano więc bydło dymem ze spalonych, święconych ziół, dawano krowom do wypicia ziołowe wywary, szepcząc przy tym zaklęcia przeciw „ciotom” – tj. czarownicom.



Rysunek Andriollego.

Wierząco też, że kto pierwszy w tym dniu wygoni bydło na pastwisko, temu zwierzęta będą się dobrze chowały – krowy będą miały mleko przez cały rok. Pasterzowie z rana splatali z zielonych gałązek wianki lub bukiety i przystrajali nimi bydło.

W okolicach Lublina, Kazimierza Dolnego, Opola Lubelskiego wiązki z gałązek brzoźowych nazywano maidło. W niektórych wsiach nogi krow dodatkowo okręcano lipowym łykiem, aby ochronić je przed czarami. Wieczorem, przyprowadziwszy bydło do domu, pasterze otrzymywali od gospodarza pieniądze, a gospodyni częstowała ich psennymi plackami i pierogami.

W trzecim dniu po wspomnianej procesji dookoła zasianych pól, ksiądz święcił również bydło zebrane w jednym miejscu. Dziewczęta zaś wcześniej zdobyły („mały”) przydrożne krzyże i kapliczki wiankami z polnych kwiatów. W okolicach Kąkolewnicy (Lubelszczyzna), żeby odpędzić wszelkie złe moce od bydła, palono ogniska w tym dniu i przepędzano przez nie krowy.

Jeszcze w XX wieku urządzano wieczorami uczy pasterskie przy ognisku – z wódką, pieczonymi ziemniakami, kielbasą, sperką i koniecznie z jajecnicą, która była nie tylko przysmakiem. Jajo było tu głównie potężnym środkiem przeciw czarom



## Bibliografia:

1. Jan Adamowski, Mariola Tymochowicz: *Obrzędy i zwyczaje doroczne województwa lubelskiego*. W: *Dziedzictwo kulturowe Lubelszczyzny*, ss. 55, Lublin 2001.
2. Beata Czech: *Zielone Świątki; W: Poznaj swój kraj; nr 5/2002*.
3. Zygmunt Gloger: *Zwyczaje doroczne, 110 pieśni zwyczajowych*; ss. 24-25.
4. Renata Hryń-Kuśmierk: *Rok polski. Zwyczaje i obrzędy; 1990, ss. 48-50*.
5. Oskar Kolberg: *W: Lubelskie I/II; ss. 117-120*.
6. Barbara Ogradowska: *Święta polskie, ss. 237-238, Warszawa 2000*.
7. Tadeusz Seweryn: *Ikonografia etnograficzna; W: Lud, T. XXXIX, 1952; XLI, 1954, s. 645-666*.
8. Beata Wojciechowska: *Wiosenne obrzędy doroczne w średnio-wiecznej Polsce; W: Mówią Wieki; nr 10/91, s. 36-37*.
9. Kazimiera Zawistowicz: *Jana Kochanowskiego „Pieśń Świątojańska o Sobótce”, a obrzędy świątojańskie*.

i złym mocom. Uczty te często zakazywane były przez właścicieli majątków, głównie ze względu na możliwość podpałen.

Na Pomorzu uczty takie przeniesiono z czasem do karczmy. Miały one charakter tzw. frycowego, czyli przyjęcia młodzika po raz pierwszy wychodzącego z bydłem na pastwiska do grona pasterzy. W trakcie zabawy starsi koledzy smagali przyszłego pastucha zielonymi brzozowymi wtkami – na szczęście, zdrowie i od uroku.

Podobny charakter miały zabawy w Wielkopolsce, zwane **smolarzem**. Tu młody pastuszek smarowany był smołą, sadzą i obwożony po wsi w wózku, a jego kompani zbierali smakołyki po chałupach.

Jeszcze w połowie XIX wieku na Kujawach bawiono się w **króla pasterzy**. Organizowano tu wyścigi pasterzy w drodze na pastwisko. Królem obwoływano pasterza, który pierwszy przybył na miejsce. Król obierał sobie wówczas „królową” – najpiękniejszą pasterkę. Parę tę strojono w zielone wieńce.

Do połowy XIX wieku na Mazowszu i Podlasiu w Zielone Świątki pasterze odprawiali tzw.: końskie lub wołowe wesele. W poniedziałek chłopcy ubierali wołu zw. **Rodusiem** (rzadziej konia) w słomianą uprząż, płócienne pasy i płachty oraz w kwiaty i wstążki. Czasem na tak przyozdobione zwierzę sadzano „rycerza” ze słomy, grochowin i gałganów. Wraz ze zwierzęciem chłopcy przy akompaniamencie muzyki chodzili po wsi, odwiedzając kolejno zagrody. Wszędzie życzyli powodzenia i dostatku w zamian za datki. Ta zabawa pasterzy kończyła się często w karczmie.

Na podstawie królewskich ksiąg rachunkowych z czasów Zygmunta I Starego, w których odnotowano datki na „chłopców z Głogowa oprowadzających Rodusia”, wynika, że zwyczaj ten znano w Polsce już XVI wieku. Zwyczaj ten był wówczas zapewne reliktem dawnych wiosennych uroczysto-

Na tą samą intencję odbywał się również podlaski zwyczaj chodzenia z królową, znany jeszcze na początku naszego wieku. Królową w tym przypadku była, uznana za najpiękniejszą, młoda dziewczyna, równie pięknie przystrojona w kwietną koronę. W asyście kilku innych dziewcząt „marszałków” obchodziła ona ze śpiewem pola: „Gdzie królowa chodzi, tam pszenica rodzi ...”. Do pochodu przyłączali się zwykle młodzi kawalerowie i wszyscy odwiedzali dwór i inne bogate domy śpiewając:

*Na maj Królewna chodziła,  
A co w tym maju robiła?  
Zielone żyto sadziła,  
A czyje to żyto tak wysoko stało?  
Naszego pana żyto,  
Dajcie królowie myto,  
Niechaj wyżnie to żyto.*

Ostatecznym finałem długiego świętowania były obrzędy wigilii św. Jana, czyli **Sobótki**, czczące letnie przesilenie. Zwyczaje te obracały się głównie wokół ognia – żywiołu uznawanego za niszczący i oczyszczający zarazem.

Termin **Sobótka** początkowo dotyczył sobót przed Zielonymi Świątami, później zaś przylgął do wieczoru – nocy przed dniem narodzin św. Jana Chrzciciela.

Kościelne obchody wigilii Św. Jana w Europie Środkowej dokumentują źródła z XIII wieku – statut legata papieskiego Filipa z Fermo, także dla ziem polskich. Statut ten zalecał plebanom, by zakazywali tzw. nocnego czuwania w przeddzień tego święta, chyba, że ma ono miejsce w Kościele.

Jan Chrzciciel był pierwszym świętym czczonym w całym Kościele. Urodził się ok. 32 r. p.n.e. w Judei jako syn kapłana Zachariasza i Elżbiety. Był krewnym Jezusa Chrystusa. Jako młody człowiek udał się na pustynię, gdzie żył jak asceta. Na przełomie 28/29 roku rozpoczął nad Jordanem publiczne nauczanie, zapowiadał nadchodzące Królestwo Boże i udzielał chrztu i pokuty. To on wskazał na Jezusa jako Baranka Bożego i nazywał Go Mesjaszem. Sam Jezus nazywał Jana posłańcem przed Bogiem. Uchodzący za proroka Jan wystąpił przeciw Herodowi Antypasowi. Gdy miał 30 lat został aresztowany, a następnie ścięty.

Prastare praktyki próbowano zastępować uroczystościami o charakterze wyłącznie chrześcijańskim. I tak we wsi Skowieszyn (Skowieszyn) położonej nad Wisłą, w dzień św. Jana wprawdzie schodzili się ludzie „według prastarego zwyczaju”, ale celem głównym było uczczenie św. Jana i uzyskanie odpustu.

Z czasem do zielonoświątecznych zwyczajów ludowych księża zaszczepili elementy religijne – związane z ob-

Do naszych czasów zachował się, zarówno na wsi, jak i w mieście, zwyczaj majenia domów na Zielone Świątki. Do dekoracji używane są gałązki wierzby i brzozy, a nawet całe małe drzewka. Gałązki zawieszają się nad drzwiami domów, stodół, a nawet na płotach i furtkach. W mieszkaniach gałązkami ozdabia się obrazy „święte”.

ści ofiarnych w intencji urodzaju, liczego przychówku i wszelkiego dostatku.

rzędami chrześcijańskimi. I tak rytualne obchody pól i pastwisk zastąpiono procesjami ze święceniami, błogosławieństwem, śpiewem i modlitwą kościelną w intencji urodzajów. Do dzisiaj też odprawia się w wielu parafiach msze z poświęceniem domowych pupilów, chociażby w dniu imienin św. Franciszka, patrona zwierząt.

Wiosenna obrzędowość Zielonych Świąt, zwykle praktykowana w tradycyjnej kulturze wiejskiej, z czasem przeniosła się do miast. Wzbogaciły ją tu lokalne zabawy podmiejskie zwane „majówkami”. Szczególnie słynęły z nich Warszawa i Kraków, gdzie już w XVIII wieku urządzano modne wówczas przejażdżki za miasto, wycieczki po Wiśle. W podwarszawskich lasach, na Bielanych urządzano gry i zaba-

wy, pokazy ogni sztucznych, często sponzorowane przez samego króla.

Urządzanie majówek w takiej formie przetrwało do okresu II wojny. Kontynuowano je również po wojnie, ale już w innych warunkach społeczno – politycznych. Majówkom nadawano wówczas wydźwięk propagandowy. W trakcie zabaw i często darmowych poczęstunków nie zapomniano o podkreślanu wiodącej roli – jedynej zresztą, partii.

I dzisiaj wszak maj sprzyja planowanym piknikom i spotkaniom towarzyskim. Najczęściej jednak wolimy cieszyć się widokami majowej przyrody w węższym gronie rodziny, przyjaciół przy własnym grillu, na działce czy w przydomowych ogródkach. ■

**mgr Halina Solecka**  
jest kustoszem Muzeum Regionalnego PTTK im. Izabeli ks. Czartoryskiej w Puławach

## POLECAMY

Oddając do rąk Czytelnika *Miasteczko* Szaloma Asza – jednego z największych pisarzy tworzących w jidysz – chcemy na nowo odczytać niezwykle barwnie opisane codzienne życie żydowskich mieszkańców shtetl, przybliżyć ten zapomniany, na swój sposób magiczny świat, którego już nie ma. Mirosław Derecki w artykule *Kazimierz według Szalom Asza* [„Gazeta Wyborcza” / „Gazeta w Lublinie”, 18 lipiec 1997] wspomina lubelskiego literata Konrada Bielskiego, który: „Ubolewał, że przetłumaczone na język polski (...) *Miasteczko* jest właściwie książką niedostępną dla współczesnego, polskiego czytelnika”. Wydając *A shtetl* pragnęliśmy to zmienić.

„Książka budzi ciekawość niezwykłą i dzięki rozpędowi, z którym jest pisana, i dzięki niespodzianym scenom, od których się roi tajemnicze wnętrza ludnego miasteczka. (...) Istnieją tu domy zapadłe i na wpół zrujnowane, których właścicielami są wszyscy naraz i nikt z osobna. Istnieją tu ludzie, którzy wszyscy razem stanowią całość nierozdzielną i niepodzielną. (...) Bohaterem tej książki jest nie człowiek, lecz całe Miasteczko”.

Bolesław Leśmian, *Recenzja Miasteczka*, „Nowa Gazeta”, 1911, nr 28

„Dzisiaj, przekazując poprawiony przekład w ręce czytelników, przyświecają nam (...) cele – poznania wartościowego dzieła bogatej literatury, a poprzez nie życia społeczności, która przez wieki stanowiła część polskiego krajobrazu i która została wyrwana z niego w tak brutalny sposób. Pewną satysfakcją powinien też napawać fakt, że obecne wydanie jest bliższe oryginałowi w jidysz (...)”

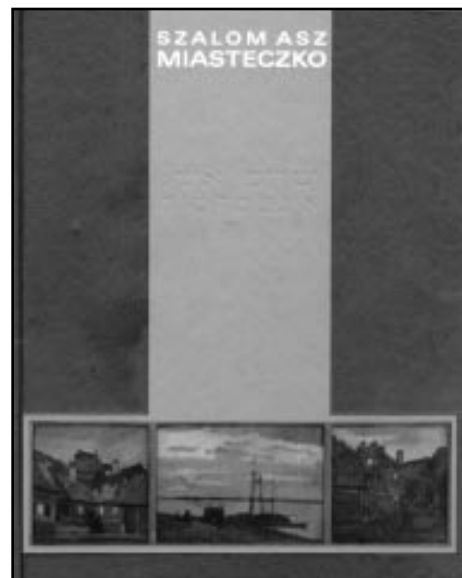
Monika Adamczyk-Garbowska, Kazimierz czy Kutno? Zagadki powieści i przekładu, posłowie w: Szalom Asz, *Miasteczko*,

Janowiec nad Wisłą 2003  
Tak więc obecne *Miasteczko*, przełożone z jidysz, wydane (...) przez Towarzystwo Przyjaciół Janowca nad Wisłą, jest w istocie pierwszym udostępnieniem tej ważnej powieści polskiemu czytelnikowi. Autorka przekładu, prof. Monika Adamczyk-Garbowska, kierownik Zakładu Historii i Kultury Żydów UMCS, rzecz uzupełniła świetnym szkicem krytyczno-historieskim. Dodano też specjalny słowniczek, starannie dobrano fotograficzne ilustracje z Kazimierza, Janowca i Kutna. Otrzymaliśmy edytorski rarytas.

Grzegorz Józefczuk, Nowe „A shtetl”  
Szaloma Asza, „Gazeta Wyborcza”/Lublin,  
6 sierpnia 2003

„Szalom Asz miał 24 lata – jak Mickiewicz w roku wydania *Ballad i romansów* – gdy napisał *A shtetl*, książkę-archetyp. Opublikowana po polsku w 1910 roku, właśnie została wznowiona po gruntownym zweryfikowaniu przekładu. Lepiej byłoby powiedzieć: odzyskana”.

Lidia Końska, Księżyc w sztrajmlu,  
„Res Publika Nowa”, wiosna 2/2004



Szalom Asz, *Miasteczko*,  
oprac. i posł. Monika  
Adamczyk-Garbowska,  
Towarzystwo Przyjaciół  
Janowca nad Wisłą,  
Janowiec nad Wisłą 2003

Zamówienia można składać pocztą na adres:

Towarzystwo Przyjaciół Janowca nad Wisłą, Osiedle Szkolne 5, 24-123  
Janowiec nad Wisłą, pod numerem faksu: 0 (prefix) 81 881 52 16  
lub na stronie internetowej Towarzystwa, gdzie znajduje się pełna  
oferta wydawnicza: [www.tpj.janowiec.pl](http://www.tpj.janowiec.pl)

Agnieszka  
Buczek

## Nigdy, nigdy... nigdzie czyli o bezdomności emocjonalnej w ponowoczesnej rodzinie

Czym jest w dzisiejszym świecie bezdomność? Problemem społecznym, dramatem odziedziczonym przez XXI wiek po poprzednim stuleciu, chorobą cywilizacyjną.... Jest także fizycznym przejawem osamotnienia.

„W moim domu jest jak w samolocie – luksusowo... ale wszyscy, których w nim widzę są odwrócenii plecami.”

**JEDEN Z MOICH PRZYJACIÓŁ powiedział kiedyś: W moim domu jest jak w samolocie – luksusowo... ale wszyscy, których w nim widzę są odwrócenii plecami. Przestrzeń przepelnia cisza i lęk przez katastrofą.**

Z takiego domu się ucieka, o takim domu szybko się zapomina. Takiego domu się nienawidzi, ponieważ przeraża on swoją pustką oraz wszechogarniającą samotnością. I w nim mieszkają ludzie bezdomni. Bezdomni nie w sensie fizycznym, lecz psychicznym.

Tę bezdomność widać na ulicach. Nie trzeba się zagłębiać w psychologię tłumu, aby ją zobaczyć. Środkiem deptaków wielkich miast, niesiona jest w sercach młodych ludzi, którzy „nie mają co ze sobą zrobić”. Brak poczucia bezpieczeństwa wzbudza w nich agresję i chęć powiedzenia całemu światu „Tutaj jesteście!”. Potrzeba wykrzyczenia tego jest tak imperatywna, że nie mając innego ujścia, wyraża się często w bezsensownych aktach wandalizmu. Mówi się wtedy, że młodzież jest źle wychowana i głupia. Idea rodzinnego domu zdaje się popadać w ruinę. Dlaczego?

Nasze mieszkania to przechowalnia, w której przebywa się od czasu do czasu. Im większa, tym bardziej przypominająca *Panoptikon* – gdzie więźniowie wiedzą,

że są nieustannie obserwowani, więc muszą się nienagannie zachowywać. Totalny brak relacji między domownikami oraz zamknięte, równo podzielone przestrzenie sprawiają, że każdy w domu ma swój rejon egzystencjalny i stara się nie ingerować na terytorium sąsiada. Ściany poszczególnych pomieszczeń

konstruuje się tak, aby dokładnie oddzielały pomieszczenia. Nie ma drzwi usytuowanych naprzeciw siebie, a jeśli takowe się zdarzą, ich geneza leży w trudnościach architektonicznych.

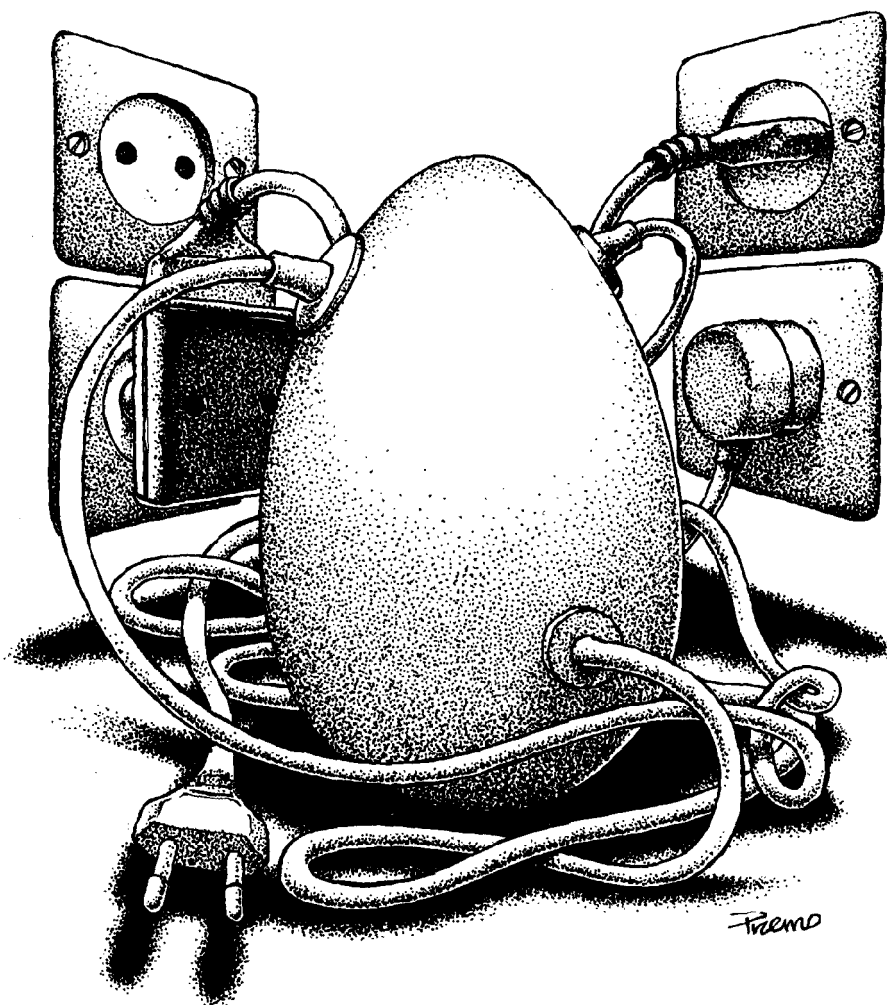
Życie domowników w ich prywatnych izolatkach powoduje degradację wzajemnych uczuć, a w końcu wywołanie emocjonalne i poczucie wyalienowania. Młodzi ludzie spędzają w domu coraz mniej czasu. Pół dnia zajmuje im szkoła, resztę koledzy oraz zajęcia znacznie absorbujące ich uwagę. W ten sposób, nawet jeżeli fizycznie przebywają z rodziną, praktycznie nie istnieją. Zajmują się „swoimi sprawami”. Często spędzają długie godziny przy komputerze, zanurzeni w bezmiar wirtualnej rzeczywistości. Hiperłącze pomaga im uciec z domu i stać się kimś innym choć na chwilę. W necie można odnaleźć propozycje zabawy w alterswiecie, wymyślić swoją postać, po czym szaleć do woli do momentu, kiedy wymyślony człowiek zginie z ręki innego zabijaki. Ci, którzy nie mają dostępu do komputera, spędzają czas przed telewizorem, bądź, jeśli pozwoli na to pogoda, na ławce przed blokiem.

Odrealnienie rzeczywistego świata oraz fakt, że łatwiej zaakceptować obraz fantastycznych wyobrażeń aniżeli prawdziwych realiów życia, sprawia, że młodzi ludzie chowają się przed innymi w krainie *Nigdy - Nigdy*, gdzie jakiś nowy Piotruś Pan zapewnia im poczucie bezpieczeństwa i dom, czyli to wszystko, czego nie otrzymali od rodziców.

Generalnie rodziciele nie mają czasu dla swoich dzieci, co jest faktem powszechnie znanym. Wystarczy popatrzeć, jaka jest frekwencja na szkolnych wywiadówkach, aby rozwiać wszelkie wątpliwości na ten temat. Dziecko zostaje pozostawione samo sobie, a kiedy zaczyna dojrzywać, mówi rodzicom: *Wy mnie wcale nie znacie!* i mówi prawdę. Zaczyna czuć, że nie jest u siebie, ponieważ pozostaje w domu obce i odizolowane od spraw innych domowników.

W takiej samej sytuacji są osoby starsze. Matka Teresa z Kalkuty opowiedziała kiedyś następującą historię:

Pamiętam, że kiedyś odwiedziliśmy piękny dom starców. Mieszkało tam czterdziestu pensjonariuszy. Na niczym im nie zbywało, a mimo to nieustannie spoglądali na drzwi. Na ich twarzach nie gościł



Rys. Przemysław Tytus Krupski

uśmiech. Spytałam siostrę, która się nimi zajmowała: „Siostrzo, dlaczego ci ludzie się nie uśmiechają?”. A ona, z prostotą, powiedziała prawdę: „Tak jest codziennie. Marzą, by ktoś ich odwiedził”.

Samotność przesywa serca tych ludzi, pozostawionych samym sobie. Ich rodziny rozpadły się: dzieci „nie mają czasu”, a dla wnuków dziadkowie są „staroświeccy i nudni”. Starsi ludzie rzadko więc zaznają radości spotkania. Całe dnie spędzają przed telewizorem, bądź przesiadując w swoich pokojach. Ci, którzy nie mieszkają w domu starców, spędzają długie wieczory patrząc w okno.

Kompletny brak relacji z drugim człowiekiem powoduje poczucie bycia znikąd. Zawieszenie w próżni egzystencjalnej potęguje jeszcze osamotnienie i bezdomność. Więc kim jest **bezdomny**?

Przed wszystkim ofiarą ponowoczesności; błędnym elektronem błądzącym w świecie materii. To człowiek odrzucony, pełny żalu i złamany na duchu. Żyje tam, gdzie mu pozwolono; je to, co dostanie, stara się pozostać anonimowy. Przyszłość

jawi mu się jako „droga krzyżowa” bez nadziei. Bezdomny niczego nie szuka i donikąd nie dąży. Nie można nawet powiedzieć, że idzie w jakimś jednym określonym kierunku. Często w ogóle nie chce nigdzie iść. Woli zostać na miejscu. Chciałby zapuścić korzenie i chciałby, żeby wszyscy zostawili go w świętym spokoju. Marzy o odnalezieniu ludzi, którzy powiedzą: *Zamieszkamy pod wspólnym dachem; przed obcymi zamknijemy drzwi...* Ludzie pragną mieć własny dom.

**Dom** to miejsce, do którego się wraca i które się kocha. Jego obraz ma się zawsze przed oczyma, bez względu na odległość dzielącą nas od niego. Nawet jeśli nie istnieje już fizycznie, trwa w naszym przekonaniu, że zawsze mamy do kogo wrócić. Bo dom jest przede wszystkim poczuciem wspólnoty z innymi i wsparciem w trudnych chwilach, nie zaś czterema ścianami zamkniętymi szczelnie na antywłamaniowy zamek. Wydaje się, że w murach pochłoniętej konsumpcją ponowoczesności nigdy i nigdzie nie można zbudować prawdziwego domu. Oby to nie była prawda. ■

Jadwiga  
Mizińska

# STUDNIA

Na rogu mojej uliczki, na Kaczych Dołach, obok dogorywających resztek parku Cywińskich, stała studnia. Jeszcze cała i do użytku. Podczas powodzi latem 2001 roku, strażacy i żołnierze urządzili sobie przy niej miejsce odpoczynku i libacji. Kiedy odjechali, pozostawili stertę śmieci, pustych butelek po piwie, wódce, puszek po konserwach. (Na wystawie dziecięcych rysunków, urządzonej w jeszcze wówczas działającym wiejskim klubie, kilka z nich przedstawiało naszych ratowników z butelkami alkoholu...)

**POTEM PRZY tej bepańskiej studni chłopaki z okolicy zaczęli wieczorami sportykać się na wino. Dokończyli dzieła zniszczenia zapoczątkowanego przez przyjezdnych. Wyłamali, wyrwali, zniszczyli, co się tylko dało. Zniknął nawet wał razem z korbą. Pozostała tylko odrapana, poszczerbiona cembrowina - tej nie dali rady.**

Sponiewierana, zgwałcona studnia nie płacze. Nie widać w niej wody spod zwałów nawrzuconego do środka plugastwa. A nawet gdyby miała czym zapłakać, nikt by nie usłyszał. Nastaly inne czasy – epoka wodociągów, doprowadzających wodę do kranów. Każdemu – osobno.

*Wyrocznia I Ching powiada:  
Głębia drewnem objęta  
I w studni zamknięta.  
Może się zmienić plan miasta,  
Miejsce studni jest stałe.  
Woda w niej nigdy nie znika  
I nigdy nie podchodzi wysoko.  
Służyła tym, którzy przyszli uczoraj,  
Posłuży tym, którzy przyjdą jutro.  
Mądry człowiek niesie pokrzepienie  
I zachęca do poczucia wspólnoty.  
Złowieszczę,  
jeśli sznur się zerwie  
zanim woda zostanie wyciągnięta.*

„Wyrocznia” nie przewidziała jednego: że ludzie sami mogą zarówno zerwać sznur, jak też zniszczyć całą Studnię.

W dwa lata po powodzi przyszła susza. Woda z kranów cieknie drobnym ciurkiem, usychają warzywa i kwiaty w ogródkach. Kto ma studnię, ten je podlewa...

Studnia – słowo skojarzone ze studzeniem, ochłodą, chłodem. Ze źródłaną, krystaliczną wodą, sycącą pragnienie, orzeźwiającą. Z wodą-życiem.

Studnia – to głębia, głębia tajemnicy, z której wszelako można uszczknąć drobną cząstkę, wyciągając wiaderem na powierzchnię życiodajny i jej ożywczy dar. Dar niewyczerpany, bo u spodu bije źródło, serce studni. Łącząc to, co podziemne, z tym, co nadziemne.

Wody ze studni wystarczy dla każdego. Dla gospodarzy i sąsiadów. Dla przechodniów i wędrowców. Dla ludzi i zwierząt. I dla ptaków, co przysiadają na korycie do pojenia inwentarza.

Na innej wsi, gdzie spędzałam dzieciństwo, budowano studnie przydrożne. Wspólne dla paru gospodarstw, wydzielone plotem tak, by dostęp do nich miał każdy potrzebujący. Ponieważ do wody było bardzo głęboko, gruby wał, przykryty blaszanym daszkiem, miał korby po obu końcach. Łańcuch na wale nawinięty był tak zmyślnie, że podczas gdy jeden jego koniec z zaczepionym wiaderem wyjeżdżał w górę, drugi, również z blaszanym wiaderem zjeżdżał na dół. Zwykle pracowały naraz dwie osoby – ciągnięcie wody było więc zajęciem towarzyskim już z tego powodu. Nie mogło być mowy o niesprawiedliwości: urządził nie samo narzucało równy podział wysiłku. Z jednym wyjątkiem – tylko jedna osoba mogła „odebrać” pełne wiadro: jednym zręcznym i zdecydowanym ruchem wyciągając je i stawiając na brzegu cembrowiny, na śladzie tysięcy już przedtem razy tam wygniecionym. Była to sztuka, której długo należało się uczyć od dorosłych.

Nie było mimo wszystko sposobu na to, by nie uронić ani kropli, przelewając wyciągniętą ze studni wodę do podstawionego na ziemi wiadra. Każda stracona kropla bolała. Zwłaszcza, gdy w niedzielne popołudnia trzeba było naczepać jej dla inwentarza na cały pracowity, żniwny tydzień, przenieść ją i napełnić wielkie cementowe koryto na podwórku.

Woda była więc skarbem. A Studnia – skarbnicą. O jednej i drugiej myślało się i mówiło z nabożeństwem. Szanowało się je, choć nie skąpiło. Pamiętam, jak kiedyś Tato, zdaniem Mamy, nieuważnie przelewał wodę i za dużo jej przy tym wychlapał. Mama się złościła, a Tato tłumaczył: „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Ogromnie mnie to zdumiało (miałam kilka lat): jak to, tu się rozlewa woda, a mowa o wiórach. Tak to zetknęłam się z metaforą – dzięki Studni.

Chociaż praca przy wydobywaniu wody była ponad siły („krwawa” – mawia-

ła Babcia) my, dzieci i młodzież, lubiliśmy ją ogromnie. A to dlatego, że podczas niej można było obserwować wszystko, co działo się na drodze. „Na szosie”, jak mówiliśmy z dumą, bo wówczas mało która wieś miała drogę, tak jak nasza, brukowaną. A w dodatku, po obu stronach obsadzoną starymi, cienistymi i niesłychanie pięknie pachnącymi włoskimi orzechami. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że obsadzanie dróg drzewami owocowymi, a zwłaszcza właśnie orzechami, było pomysłem Marii i Jana Kleniewskich, przedwojennych „dziedziców” naszej okolicy.

Przypuszczalnie z tamtych też zamierzonych czasów pochodził zwyczaj stawiania „przy rowie” ławek, na zewnątrz płotów. Jak również raz w roku, przed Wielkanocą, bielienia wapnem drewnianych sztachet. Białe płoty pod zielonymi parasolami drzew o egzotycznym zapachu, to barwy mojej dziecięcej pamięci.

Wieś miała dwa gatunki przestrzeni. Indywidualną, rodzinną, w obrębie podwórka ogrodzonego płotem, oraz wspólną – drogę i wszystko to, co na niej i przy niej. Droga służyła nie tylko po to, by udać się nią w jedną czy drugą stronę, ale i do tego, by na nią wyjść. Spotkać się z sąsiadami, porozmawiać. Starsi siadali na ławkach, młodszy: kawalerka i panny, spacerowali, mijając się i zaczepiając, niektórzy nawet jeździli na rowerach, co nadawało im dodatkowej atrakcyjności i budziło zazdrość.

Do gatunku owej wspólnej przestrzeni należał też teren „przy studni”. Tu, chcąc nie chcąc, spotykało się codziennie najbliższych sąsiadów, rozmawiało z nimi, opowiadało nowiny i plotki.

Specjalistką od wymiany informacji była starsza, ale jeszcze hoża kobieta, zwana Wolną Europą. Każdego ranka, bez względu na porę roku i pogodę, szła od domu do domu, przenosząc nowiny z jednego krańca wsi na drugi.

Stara Gurmińska była osobą wesołą i skorą do żartów, podobnie jak jej zmarły dawno mąż. Opowiadała o nim taką między innymi historię:

„Któregoś tu razu budzi mnie mój i godo: Stacha, wstuń, *Tumek pomarli*.

Ło Jezu kochany – zacynam zawodzić – Któż mi tera będzie lunki sikoł...

– Nie płac, głupio, ady to jo ci godom, ze jo pomarłem – godo mój Tumek.”

„Któż mi będzie lunki sikoł” – któż mi będzie łaki kosił. To powiedzenie jako wyraz najgłębszego żalu, weszło do naszego rodzinnego języka na stałe.

\*

Przy studni nawiązywały się między młodymi uczucia i romanse. Już jako dorosła osoba, spotkawszy na ulicy w Lublinie dawnego sąsiada, Zygmunta C., ojca

dorosłych dzieci, dowiedziałam się, że przez lata kochał się we mnie. Jak mogłam się była tego domyśleć, skoro za każdym razem, kiedy przychodził po wodę, niby przypadkiem potraçał i wylewał moje wiadro...

Nasza studnia stała się też słynna z pewnego tragicomicznego zdarzenia. Jeden z młodzieńców, Piotr K., wracając z zabawy, widocznie zmęczony i podpity usiadł na brzegu cembrowiny i się zdrzemnął. Ocknął się dopiero w studni, na samym dnie, po pachy w wodzie.

Szczęściem jego głuche krzyki usłyszeli inni koledzy („winniczki” jak ich nazywała moja Mama, w odróżnieniu od „piwniczek”, preferujących tanie piwa). Wyciągnęli obtłuczonego, przeżalonego i już trzęsawego kumpla na wierzch. I – stał się cud. Od tamtego wypadku Pietrek, uznany za straconego, bo już był całkiem rozpity, nie wziął po dzień kieliszka do ust. Jest jednym z najlepszych gospodarzy, ojcem trzech córek, hodowcą cebuli, buraków i chmielu.

Studnia, zagrożiwszy życiu, uratowała mu zdrowie.

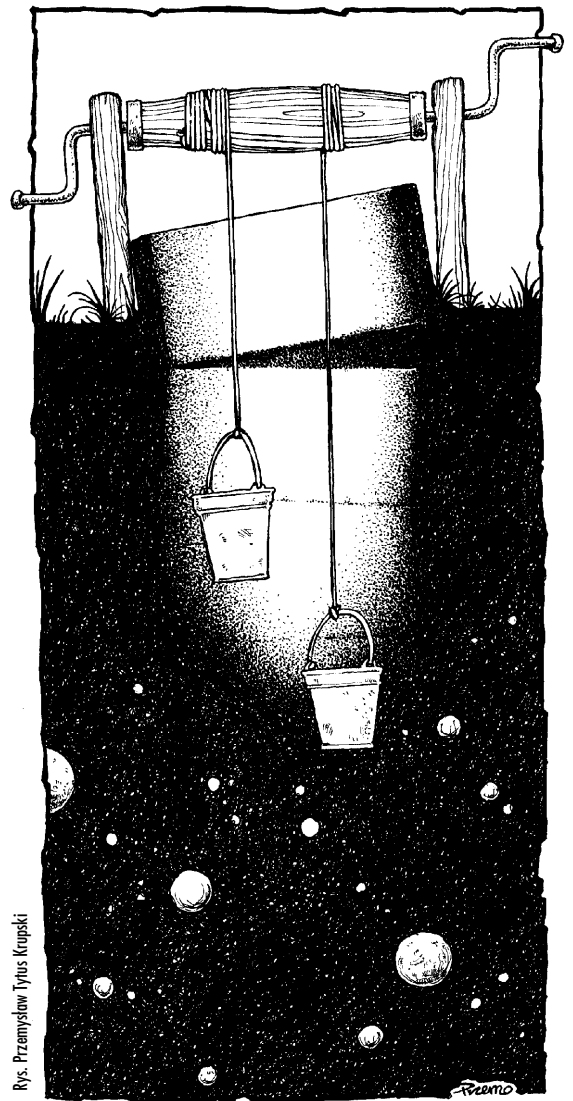
\*

„Może się zmieniać plan miasta, miejsce studni jest stałe”. Z żydowskiego Lublina nie pozostało nic poza kilkunastoma fotografiami, rycinami, opisami w nostalgicznym wspomnieniu. Nic – oprócz jednego elementu: Studni, która tkwi w rogu stacji PKS, niedaleko prawosławnej cerkwi przy ulicy Ruskiej. Nie zwracając niczyjej uwagi, tak wrosła w nowy, obcy dla siebie pejzaż.

„Służyła tym, którzy przyszli wczoraj”. Czy „posłuży tym, którzy przyjdą jutro?”

Czy „zachęci do poczucia wspólnoty?...”

Czy są jeszcze gdzieś studnie ze stojącym na ich cembrowinie blaszanym garnuszkiem, z którego może napić się każdy spragniony podróżny? ■



Rys. Przemysław Tytus Krupski

#### Jadwiga Mizińska

jest profesorem filozofii w Instytucie Filozofii UMCS, kierownikiem Zakładu Socjologii Wiedzy, autorką m.in. książek „Uśmiech Hioba” (1998), „Imiona Losu” (1999), „Herbert Odysseusz” (2001).